

adeste⁺

Miesięcznik młodych katolików

NR 23 | SIERPIEŃ 2019

ISSN 2544-7424

Kryzys Kościoła



www.adeste.eu

Adres do korespondencji:

Łapiguz 73, 22-400 Zamość
tel. 515 244 234
redakcja@adeste.eu

Wydawca:

Stowarzyszenie Adeste KRS: 0000759020

Redaktor naczelny:

Bartłomiej Wojnarowski - bartlomiej.wojnarowski@adeste.eu

Zastępca Redaktora naczelnego ds. jakości:

Piotr Bogdanowicz - piotr.bogdanowicz@adeste.eu

Zastępca Redaktora naczelnego ds. harmonogramów i planowania:

Laura Korzeniowska

Sekretarz redakcji:

Krzysztof Działik - krzysztof.dzialik@adeste.eu

Redaguje zespół w składzie:

Nina Małgorzata Kogut (sekretarz miesięcznika), Konrad Myszkowski (kierownik portalu adeste.eu), Piotr Władysław Sudoł (sekretarz portalu), Antonio Akmadża, Piotr Bogdanowicz, Jan Buczyński, Michał Gójski, Marcei Hejwowski, ks. Mateusz Kopa, Szymon Kozieja (kierownik działu kultura i społeczeństwo), Piotr Ulrich

Rysownik i art-designer:

Zofia Bryłka

Współpracownicy:

Mateusz Bednarek, Jan Borowski, Wojciech Gałek, Patryk Kępczyński, Piotr Krajski, Tymoteusz Pyda, Joanna Smarzyńska, Dorota Ślęczek, ks. Dawid Sebastian Tyborski, Jakub Urbaniak, Olga Wachowiec, Marcin Worek.

Okładka, i opieka nad serwerem:

Tomasz Łukasik

Skład gazety w rozszerzeniu .pdf:

Tomasz Łukasik

Skład gazety w rozszerzeniach .mobi i .epub oraz główny webmaster adeste.eu:

Maciej Laskowski

Statystyk Adeste:

Mateusz Kosson

Graficy:

Emilia Witkowska i Joanna Miśkiewicz

Dział korekty:

Kinga Grodzka (kierownik działu korekty), Dorota Białecka, Anna Róża Kuncewicz, Michał Przekwas, Dorota Szewczak (korekta portalu), Magdalena Węglarz, Mikołaj Wolanin, Aleksandra Żak.

Dział rozwoju i promocji:

Anna Piontek - kierownik działu rozwoju i promocji - promocja@adeste.eu, Norbert Bryłka, Zofia Bryłka, Agnieszka Jarmutowska, Tomasz Leszczyński, Tomasz Łukasik, Piotr Władysław Sudoł.

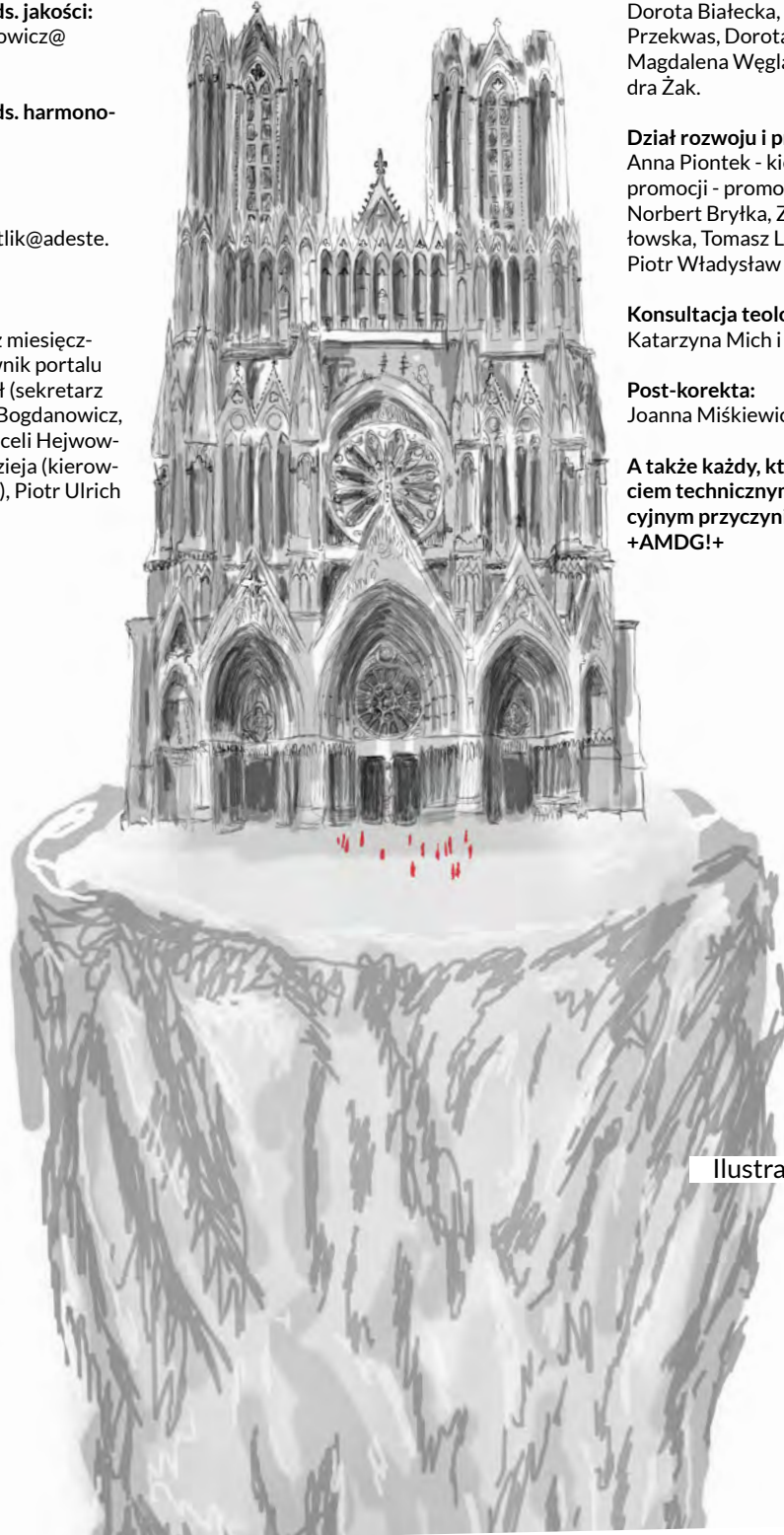
Konsultacja teologiczna:

Katarzyna Mich i Michał Ryłko

Post-korekta:

Joanna Miśkiewicz i Dominika Tomaszewska

A także każdy, kto modlitwą, pomocą, wsparciem technicznym, finansowym czy organizacyjnym przyczynił się do rozwoju tego dzieła. +AMDG!+



Ilustracja: Zofia Bryłka

Spis treści

Daj nam, Panie, święty spokój Marceli Hejwowski	4
Historia walki z pedofilią w Kościele katolickim, cz. II – czas soboru watykańskiego II oraz druga połowa XX wieku Olga Wachowiec	7
Siedem demonów, co nami się karmią Konrad Myszkowski	11
Filozofia na czas kryzysu Jan Borowski	17
Brygada Kryzys próbuje się dogadać – o jedności katolickiej w trudnych czasach Jan Buczyński	21
Szukam, o Panie, Twojego oblicza Patrik Kępczyński	26
Kłamstwo ma krótkie nogi Piotr P. Ulrich	29
„Hej, ha! Kolejkę nalej! Hej, ha! Kielichy wzniesmy!” Marceli Hejwowski	34
Tak, wierzę! Jakub Urbaniak	42
Dorośli katechezy nie potrzebują? Formacja duchowa dorosłych w powijakach Joanna Smarzyńska	46
A bramy piekielne go nie przemogą Katarzyna Mich	50



Drodzy Czytelnicy i Sympatycy miesięcznika „Adeste”!

Nieraz może wydawać się, że cały świat jest w kryzysie. Większość serwisów informacyjnych jako pierwsze prezentuje informacje o wypadkach, tragediach, kompromitacjach znanych osób. Także w Kościele coraz częściej bolą nas doniesienia o nadużyciach duchownych, skandalach i porzuceniu posługi. To wszystko tworzy poczucie, że budowane przez setki lat wartości i idee zdają się wypalać. Wydaje się wówczas, że to, w co wierzyliśmy, nie zawsze się sprawdza, a zaangażowanie prawych nie wystarcza, by wyprzeć niegodziwość złych.

W takim spojrzeniu można znaleźć wiele racji. Tak, jesteśmy w kryzysie. Wszyscy. Ten kryzys nazywa się grzechem. Cała ludzkość jest skażona, osłabiona już od samego początku przez grzech pierworodny. Wielu ludzi żyje, jakby Boga nie było, odrzucając łaski płynące z przynależności do Kościoła.

Zło nie jest jednak podstawową dominantą naszego świata. „Stat crux dum volvitur orbis” – stoi krzyż, choć zmienia się świat. Nasza ludzkość drży w posadach, bo sami nimi chwiejemy. Przez osobiste zło i zgadzanie się na struktury zła w naszym społeczeństwie.

Jesteśmy zagubieni, bo jako świat i Kościół zmagamy się z najgorszym kryzysem: kryzysem zła i grzechu. Jednak kryzys może też rodzić odnowienie życia. Tak jak ból informuje nas, że coś jest nie tak. Jeśli zareagujemy odpowiednio i zrozumiemy, które struktury są chore, kryzys może stać się początkiem życia w nowej jakości.

Mniejsze i większe kryzysy dotyczą także nas, młodych. Mimo obcowania na co dzień z technologią i społecznym rozwojem nie zawsze czujemy się w tym świecie dobrze. Wielu młodych załamują osobiste porażki, czują się samotni ze swoimi pytaniami, nie mogą znaleźć kierunku w świecie, który odrzuca chrześcijańskie prawa i wartości.

Dlatego w najnowszym numerze naszego miesięcznika chcemy poruszyć temat kryzysu. Zastanowimy się, czy może on przynieść coś dobrego, czy jest chciany przez Boga i jak przechodzić przez trudności w odnowionej wierze.

Zachęcając do lektury najnowszego, 23. numeru miesięcznika „Adeste”, powierzamy się Waszej modlitwie i wsparciu.



Z darem modlitwy +
Bartłomiej Wojnarowski
Redaktor naczelny miesięcznika „Adeste”



Daj nam, Panie, święty spokój



Marceli Hejwowski

Niektórzy publicyści ironicznie określają go mianem „największego świętego naszych czasów”. Są ludzie, którzy uważają, że to luksus, na który nie każdy może sobie pozwolić. Inni mówią, że już go mieliśmy, a teraz nastały „nieciekawe czasy” (czyli ciekawe, precyzyjniej rzecz ujmując). Święty spokój. Czy spokój i czy faktycznie święty?

Gdy posługujemy się tym frazeologizmem, zazwyczaj nie mamy na myśli rzeczy pozytywnej, czy też, ściślej się wyrażając, szlachetnej, dobrej. „Daj mi święty spokój” – to nieco grzeczniejsze „odczep się!”, „nie chcę mieć z tym nic wspólnego”, „to nie moja sprawa”.

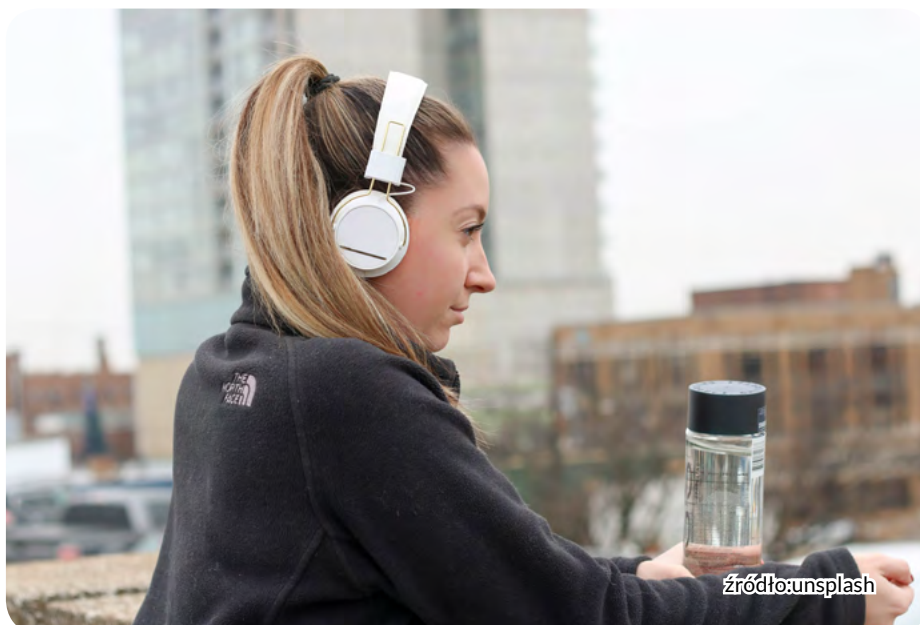
Niewygoda związana ze szlachetnością, uczciwością jest czymś tak nas kłującym, że wolimy się odseparować, zamknąć, odciąć. *Hikikomori* dosłownie oznacza „zamknąć się w zamku”, czyli przywołuje na myśl właśnie odcięcie się od odpowiedzialności za zewnętrzny świat. Odrzu-

cając tę niewygodę, człowiek gotuje sobie wyrzuty sumienia. Rezygnacja z dobra oraz akceptacja napotkanego zła zawsze je tworzą. A zatem człowiek, który porzucił szlachetność, potrzebuje stłumić swoje wyrzuty sumienia. Istnieje na to tłumienie kilka sposobów.

Ktoś może mieć problem z załatwieniem rozbudowy domu w powiatowym urzędzie. „Normalna sprawa, urzędnicy zawsze robią problemy, jak nie ma się znajomości”, myśli sobie ten ktoś. „Dam więc łapówkę, by dom rozbudować. Wszyscy tak robią, a ja już mam załatwioną ekipę budowlaną, która czeka... Nie ma nic w tym złego, że dałem kopertę, przecież ten urzędniczyna już i tak jest skorumpowany...”

Ktoś może dzień w dzień w tym samym pociągu spotykać młodego ucznia, który całą podróż, nie mając słuchawek, ogląda maksymalnie głośno „snapy” od swoich kolegów czy koleżanek. Nie zwróci mu jednak uwagi, że przeszkadza ludziom w jego otoczeniu, bo inni tego nie robią. „Chcę tylko spokojnie dojechać do pracy, a by go pouczyć, musiałbym oderwać się od siedzenia i przejść kilka metrów... A pewnie i tak by mnie nie posłuchał”.

Ktoś może dostrzegać ludzką biedę realnie obecną nawet w bogatym jak na polskie warunki mieście stołecznym. Nic z tym nie robi, ona go jednak niepokoi. Dlatego raz w roku wrzuci do puszeki WOŚP-u, naklei sobie serduszko i już jest bohaterem, który się troszczy o innych i nie jest obojętny. Albo da kilka razy



źródło: unsplash

do roku „dyszkę” żebrakowi czy żebraczce (*de facto* członkowi lub członkini żebraczej mafii) i też czuje się zwolniony z troski „o tych maluczkich”.

Ktoś inny może należeć do grupy towarzyskiej, w której widzi głębokie zakłamanie, hipokryzję, czy po prostu rozmaite wady oraz patologie funkcjonujące w tym mikrospołeczeństwie. Nie robi on jednak niczego, by cokolwiek się zmieniło, nie podejmie chociażby krytyki, która skłoniłaby do refleksji. Boi się bowiem ostracyzmu oraz represji ze strony grupy. Boi się frazy *nemo propheta in patria sua*. Akceptuje więc wszystkie bołaczki, po cichu przeklinając stan rzeczy.

Rozproszenie odpowiedzialności, dawanie ogarka Panu Bogu, a świecy diabłu (tradycyjna odwrotna kolejność w tym

powiedzeniu moim zdaniem nie jest aktualna), cynizm i wycofanie, trywializacja zła, szukanie win w innych/państwie/Kościele/firmie... Wiele jest sposobów na uspokojenie sumienia. Prowadzą one do niemoralnego kultu świętego spokoju. „Zróbmy tak, by było, jak jest, a właściwie to nie zróbmy” – to manifest kultystów tej leniwej wiary.

Pewnym paradoksem jest dla mnie semantyczna ciekawostka dotycząca przywołanego frazeologizmu polegająca na tym, że zestawienie dwóch pozytywnych rzeczy daje negatywne pojęcie. My, ludzie Kościoła, dążymy do świętości, a przynajmniej deklarujemy od czasu do czasu chęć osiągnięcia tego celu. Chociażby przez niedzielne wyznanie „[...] vitam venturi saeculi. Amen” („[...] żywot wieczny. Amen”) wspominamy to nasze powołanie. Spokój

zaś jest dobrą cechą charakteru. Wyływa on z właściwości duszy twardo stąpającej po ścieżce prowadzącej do świętości – pokoju serca, który czyni spokojnym wobec świata zewnętrznego. Człowiek nim napętniony nawet w gniewie będzie czynił rzeczy dobre.

Wyrzekając się zatem świętego spokoju w życiu, a gorąco postanawiając pracę nad świętością i utrzymaniem pokoju, stopniowo otrzymywać będziemy łaskę spokoju nawet w najtrudniejszych chwilach życia. Brzmi to górnolotnie, powie ktoś. Zbyt prosto, fałszywie. Ale taka jest prawda – banalna, ciężka do pojęcia. Nie wiemy, co będzie w chwilach trwogi konania, w chwilach szczególnych mąk. Chrystus na krzyżu zachował jednak spokój, trwał w milczeniu. „On, gdy mu złorzeczono, nie złorzeczył, gdy cierpiał, nie groził...” (1 P 2, 23).

Przedstawiając rzecz inaczej, wezwanie do świętości i pokoju to powołanie do wytrwałej pracy nad cnotami, a także do wolności. Ta osobista stanowi istotę spokoju duszy. Grzech to zniewolenie. Z wewnętrznej wolności powinny wypływać starania o tę zewnętrzną – wolność w narodzie, rodzinie, w miejscu pracy... Wszystkie nasze dążenia dotyczące wolności

wokół nas powinny iść w parze z naszym wyzwoleniem z okowów zła.

„Życzymy sobie i wam / By nas było stać / Na święty spokój / Szczęścia ile się da / Miłości w bród / Mądrych ludzi wokół” – tak śpiewają w piosence *Sobie i wam* (promującej tegoroczne *Męskie Granie Orkiestra 2019*) Zalewski, Organek, Igo i Nosowska. Jestem pesymistą – Rzeczpospolitej i polskiego Kościoła nie stać już na święty spokój. Mieliśmy go kiedyś zarówno jako naród, jak i polska *Ecclesia*. Wtedy mogliśmy ustawicznie chować głowę w piasek. Obym się mylił. Wciąż mamy jednak szansę napętnienia się miłością płynącą ze świętości i jej siłą wytrwale zmieniać sytuację na lepsze. Możemy być szczęśliwi, jeżeli uwolnimy się z kajdan grzechu. Na ludzi wokół nas nie mamy determinującego wpływu – ale i tutaj znajdują się dla nas rozmaite zadania. Sami wzrastając w mądrości, możemy potem pomóc innym w stawianiu się takimi.

W tym zawiłym tekście postuluję trzy rzeczy. Po pierwsze, porzućmy święty spokój, a zajmijmy się świętością i spokojem. Po drugie, bądźmy odpowiedzialni za kondycję duchową swoich rodzin i przedsiębiorstw, lokalnych wspólnot kościelnych

i niekościelnych. Po trzecie, uczmy się spokoju, ponieważ w naszych pełnych zamętu czasach może on być niezbędny do przetrwania w codzienności.

„Przyoblecźcie miłość, która jest więzią doskonałości. A sercami waszymi niech rządzi pokój Chrystusowy, do którego też zostaliście wezwani w jednym ciele. I bądźcie wdzięczni” (Kol 3, 14–15). Amen!

*Spodobał Ci się ten tekst?
Masz własne zdanie?
Chcesz o coś zapytać?*



źródło: unsplash

Otwarcie sesji Soboru
Watykańskiego II



Historia walki z pedofilią w Kościele katolickim, cz. II – czas soboru watykańskiego II oraz druga połowa XX wieku



Olga Wachowiec

O tym, jakie było podejście Kościoła katolickiego do pedofilii przed soborem watykańskim II, mogliście przeczytać w poprzednim, 22. numerze miesięcznika „Adeste”. Jak jednak owa sytuacja zmieniła się wraz z kolejnym soborem powszechnym? Jak na tę kwestię zapatrywali się ówcześni papieże – święci Jan XXIII oraz Paweł VI? Jakie zmiany w Kościele katolickim nastąpiły w drugiej połowie XX wieku?

Sobór watykański II został otwarty 11 października 1962 roku przez papieża Jana XXIII, a 8 grudnia 1965 roku zakończył go jego następca, Paweł VI. W ciągu tych trzech lat w życiu Kościoła katolickiego wpro-

wadzono wiele zmian, które „zmodernizowały” go znacząco, rzucając nowe światło na wiele spraw. Nie bez przyczyny wydarzenie to nazywano najbardziej rewolucyjnym soborem wszechczasów.

Crimen sollicitationis

Jeszcze przed rozpoczęciem II soboru watykańskiego papież Jan XXIII zdecydował o przedruku instrukcji *Crimen sollicitationis* z 1922 r. – dokumentu,

którego celem było ujednolicenie procedur postępowania wobec księży, którzy zostali oskarżeni m.in. o wykorzystywanie sakramentu pokuty i pojednania do nakłaniania penitenta do czynności seksualnych. Warto zatem jeszcze raz przyjrzeć się temu dokumentowi. Składał się on z pięciu części, z czego piąta, ostatnia, nosiła tytuł *Crimen Pessimum* i dotyczyła grzechów homoseksualnych popełnianych przez księży. W samej instrukcji zawarto również opis konsekwencji prawnych dotyczących postępowania wobec kapłanów oskarżonych o akty pedofilii lub zoofilii.

Przedrukowaną instrukcję wyposażono również w dodatek na temat procedur dotyczących zakonników popełniających wspomniane przestępstwa. Całość miała być rozdana biskupom podczas II soboru watykańskiego. Finalnie jednak nie rozproszono większości nakładu. Sam dokument obowiązywał natomiast aż do 2001 r., czyli do czasu wydania nowych norm spisanych w *motu proprio Sacramentorum sanctitatis tutela*.

Warto w tym miejscu również zaznaczyć, że fakt istnienia tej instrukcji utajniono i dopiero na początku XXI wieku jej istnienie oraz treść zostały ujawnione. Do tego czasu do opinii pu-



źródło:unsplash

blicznej nie dotarła wiedza nie tylko o samym dokumencie, ale również o różnych przypadkach związanych ze znieważaniem sakramentu pokuty czy z przypadkami wykorzystywania seksualnego dokonywanego przez księży. Duży nacisk kładziono na nieupublicznianie problemów Kościoła i zachowywanie milczenia, które przez fakt tajemnicy spowiedzi obowiązywało nie tylko kapłana, ale również penitenta. W tym okresie zmiana miejsc pracy duszpasterskiej problematycznych księży była jednym ze sposobów „radzenia sobie z aktualną sytuacją”. Rolą biskupa w dużej mierze pozostawało leczenie, a nie karanie. Przenoszenie kapłanów do innych parafii czy nawet wysyła-

nie ich na misje do krajów Afryki, choć pozornie skuteczne, było jednak działaniem rozwiązującym problem w teorii, podczas gdy faktycznie polegało na jego tuszowaniu.

Zmiany, zmiany, zmiany...

Podczas II soboru watykańskiego Kuria Rzymska oraz *Codex iuris canonici*, czyli *Kodeks prawa kanonicznego* zostały poddane reformom. Wraz z ich zakończeniem tendencje wszelkich zmian związanych z osądzaniem kapłanów, którzy popełnili przestępstwa m.in. solicytacji, zaczęły skłaniać się ku decentralizacji władzy. Ważny punkt stanowiło złożenie na ręce biskupów odpowiedzialności za

rozeznawanie poszczególnych przypadków. Tym samym otrzymali oni w tej kwestii więcej władzy.

Ostatecznie jednak po II soborze watykańskim kwestie solicytacji i przestępstw na tle seksualnym pozostawiono w gestii Świętego Oficjum, które w 1965 r. nazwano Kongregacją Nauki Wiary. Ta jedna z dziewięciu kongregacji Kurii Rzymskiej była odpowiedzialna za sądownie tego typu zająć aż do 1989 r. W tym okresie Kongregacji Nauki Wiary faktycznie przedstawiono nieliczne przypadki związane z nieodpowiednimi zachowaniami seksualnymi księży, nadużywaniem sakramentu spowiedzi czy prośbami o zwolnienie z celibatu lub obowiązków wynikających ze święceń kapłańskich. W późniejszych latach, to jest od 1989 do 2005 r., zajmowanie się podobnymi sytuacjami pozostawało w zakresie obowiązków Kongregacji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów.

Wieki milczenia i wielki wybuch

Druga połowa XX wieku okazała się niezwykle burzliwym czasem dla Kościoła katolickiego. Największą liczbę przestępstw na tle seksualnym zanotowano w latach sześć-



Obrady soborowe. Fot. Lothar Wolleh.

źródło:wikimedia.org

dziesiątych i siedemdziesiątych. Przyczyn takiego rozwoju wydarzeń było wiele – rewolucja seksualna w Stanach Zjednoczonych i w Europie Zachodniej, a także fakt, iż duchowni zaczęli wychodzić z kościołów i klasztorów m.in. do szkół, spowodowały, że w tym okresie liczba przypadków wykorzystywania seksualnego dokonywanego przez kapłanów i zakonników wzrosła. Dużym problemem w tym czasie stał się fakt utajniania tych przestępstw oraz przenoszenia duchownych do innych parafii, miast czy nawet krajów. Prokuratura nie była

informowana o popełnianych czynach karalnych, a obie strony zobowiązywały się do milczenia.

W 1983 r. ówczesny biskup Rzymu Jan Paweł II promulgował *Codex iuris canonici*. Odnowił on przepisy związane z przestępstwami seksualnymi. Kanon 1395 § 2 głosi: „Duchowny, który w inny sposób wykroczył przeciw szóstemu przykazaniu Dekalogu, jeśli jest to połączone z użyciem przymusu lub gróźb, albo publicznie lub z osobą małoletnią poniżej lat szesnastu, powinien być ukarany sprawiedliwymi karami, nie

wyłączając w razie potrzeby wydalenia ze stanu duchownego”. Zgodnie z tym dokumentem procesy miały być przeprowadzane w diecezjach z możliwością odwoływania się od wyroków sądów biskupich do Roty Rzymskiej.

Kamieniem milowym dotyczącym postrzegania pedofilii przez opinię publiczną w latach dziewięćdziesiątych okazały się wydarzenia w Irlandii. Wydarzenie bowiem wtedy na jaw, że jeden z ówczesnych biskupów, Eamonn Casey, ma syna. To pociągnęło za sobą serię zdarzeń odsłaniających ciężkie grzechy Kościoła na tle seksualnym, a co za tym idzie, również na tle przestępstw popełnianych wobec nieletnich.

Niestety ówczesnie sprawujący władzę biskup Rzymu nie miał odpowiednich narzędzi, by tej sytuacji zaradzić. Mimo to kwestia wykorzystywania przez księży osób niedojrzałych płciowo i następujących po tych incydentach procedur była tematem, który pojawiał się w Kurii Rzymskiej. W specjalnym dokumencie przekazanym pierwotnie biskupom ze Stanów Zjednoczonych, a następnie również przedstawicielom Kościoła katolickiego w Irlandii, Stolica Apostolska ustaliła i wyszczególniła kilka ważnych fak-

tów. Przykładowo wiek definiujący osoby małoletnie ustalono na poniżej osiemnastu lat, a czas przedawnienia spraw wykorzystania seksualnego rozszerzono do dziesięciu lat liczonych od ukończenia przez ofiarę wieku dojrzałości. Ponadto biskupi otrzymali wyraźne polecenia, by procesy kanoniczne przeprowadzać w poszczególnych diecezjach.

Wraz z Kurią Rzymską papież Jan Paweł II ostatecznie zdecydował, by przestępstwa na tle seksualnym wobec osób poniżej osiemnastego roku życia wpisać na listę przestępstw kanonicznych zastrzeżonych Kongregacji Nauki Wiary. Ten przepis, połączony z wytycznymi udzielonymi biskupom z USA i z Irlandii, został zawarty w wyżej wymienionym *motu proprio Sacramentorum sanctitatis tutela*. Prawo to promulgowano 20 kwietnia 2001 r., a sam list zawierający informacje na temat regulacji oraz konkretnych procedur rozesłano do wszystkich biskupów już 18 maja 2001 r.

XXI wiek?

Dokument *motu proprio Sacramentorum sanctitatis tutela* wniósł bardzo dużo zmian w życie Kościoła katolickiego. Samo przyznanie się do istniejącego już od dawna problemu stanowi-

ło krok milowy w walce ze zjawiskiem pedofilii. O czym jeszcze jest *Sacramentorum sanctitatis tutela*? W kolejnej części artykułu zajmiemy się poszukiwaniem odpowiedzi na pytania o wprowadzone przez Benedykta XVI i Franciszka zmiany związane z postrzeganiem grzechów nieczystości oraz o współczesne spojrzenie Kościoła na problem pedofilii w jego strukturach.

Niezaprzeczalnie historia Kościoła katolickiego składa się nie tylko z chwalebnych wydarzeń. Nie pozostaje on jednak obojętny wobec zaistniałych problemów. Odnoszę również wrażenie, że podobnie jak poszczególne jednostki nie zawsze wiedzą, jak postąpić w kryzysie, tak i Kościół katolicki niejednokrotnie nie do końca potrafił znaleźć rozwiązanie dla problemu pedofilii obecnego w jego wnętrzu. Analizując kolejne próby ratowania Kościoła z opresji, wierzę jednak, że idzie on w dobrym kierunku, nazywając nie tylko dobro dobrem, ale również zło złem.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



Siedem demonów, co nami się karmią



Konrad Myszkowski

Pycha, chciwość, nieczystość, nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu, lenistwo, gniew, zazdrość. Jacek Kaczmarski nazwał je „siedmioma demonami, które nami się karmią”, a Kościół wymienia je jako grzechy główne. Tylko właściwie dlaczego?

Czy zastanawialiście się kiedyś, dlaczego akurat te, a nie inne grzechy są określane przez Kościół jako „główne”? Przykładowo – dlaczego np. chciwość jest „główna”, a nienawiść czy oszczerstwo już nie? Idąc dalej – czy nie zaskoczyło Was, że lista grzechów głównych jest jakaś taka... słaba? Przecież lenistwo, obżarstwo czy zazdrość wydają się być dużo mniej poważnymi

wykroczeniami niż chociażby kłamstwo, bluźnierstwo czy zabójstwo. A jednak Kościół od wieków wskazuje praktycznie niezmienną listę grzechów głównych. Czy więc może nie jest ona już aktualna? Może nigdy nie była? A może wcale nie chodzi o wypunktowanie najcięższych grzechów, ale pokazać czegoś innego?

Grzechy i wady

Aby przekonać się, co Kościół rzeczywiście miał na myśli, najlepiej sięgnąć po Katechizm. Grzechy główne wyliczone są w kanonie 1866: „Nazywa się je »głównymi«, ponieważ powodują inne grzechy i inne wady. Są nimi: pycha, chciwość, zazdrość, gniew, nieczystość, łakomstwo,



źródło:unsplash.com

lenistwo lub znużenie duchowe”. Grzechy te nie są więc główne dlatego, że są najcięższe, ale dlatego, że są wyrazem pewnego nieuporządkowania, prowadzącego do popełniania innych grzechów.

I faktycznie, jeśli się nad tym głębiej zastanowić – każdy z naszych grzechów ma źródło gdzieś w powyższej liście. Spójrzmy chociażby na przytoczone we wstępie przykłady. Zabójstwa – o ile oczywiście nie mamy do czynienia z silnym zaburzeniem psychicznym – nie dokonuje się dla samego zabicia,

ale w jakimś celu. Zabójca kieruje się najczęściej chciwością, zazdrością (mogącą się wiązać z nieczystością) lub nienawiścią wynikającą z gniewu. Z kolei bluźnierstwo to efekt przede wszystkim pychy, do której czasem dochodzi również gniew. Oszczerstwo czy kłamstwo – zależnie od sytuacji – również wiążą się z gniewem, zazdrością, chciwością, a czasem lenistwem – gdy powielamy niesprawdzone informacje. Oczywiście dotyczy się to również grzechów bardziej powszednich – jak myślisz, Drogi Czytelniku, które z grzechów głównych mogą być przyczyną Twojego przeklinania, oszukiwania, pyskowania, szaleństw za kierownicą czy niepotrzebnego jęczenia „O Matko Boska!”?

Warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden szczegół, zawarty we wcześniejszym (1865) kanonie Katechizmu. Czytamy w nim: „Grzech powoduje skłonność do grzechu; rodzi wadę wskutek powtarzania tych samych czynów. Wynikają z tego niewłaściwe skłonności, które zaciemniają sumienie i zniekształcają konkretną ocenę dobra i zła”. Mamy tu opis procesu powstawania grzechów głównych oraz określenie ich słowem „wada”. Kościół widzi w grzechach głównych właśnie wady, które utrudniają nam właściwą ocenę moralną, a w konsekwen-

cji prowadzą do rozmaitych grzechów. Myślę, że można je również traktować jako nieuporządkowanie najważniejszych sfer życia ludzkiego. Co jednak najważniejsze: to nie są akademickie, teologiczne dywagacje – słowa Katechizmu wskazują nam, jak powinniśmy pracować nad sumieniem. Przede wszystkim warto lepiej poznać istotę poszczególnych wad-grzechów głównych.

Pycha z tańczącą latarnią

Tak jak lista grzechów głównych nie jest przypadkowa, tak i nie ma przypadku w tym, że otwiera ją **pycha**. Pychę słusznie nazywa się źródłem wszystkich grzechów – czym bowiem, jeśli nie pychą, jest naruszenie zasad ustalonych przez Boga? Pierwszym przejawem ludzkiej pychy była decyzja Adama i Ewy – uznali oni, że lepiej posłuchać Szatana niż Boga i popełnili pierwszy w historii grzech. Odtąd każdy człowiek, łamiąc przykazania Boże, mówi: „ja wiem lepiej”.

Mówiąc najogólniej, pycha jest zaburzeniem sfery świadomości naszego miejsca w świecie. Mówił o tym abp Fulton Sheen w słowach: „Pycha jest próbą stworzenia wrażenia, że jesteśmy kimś, kim tak naprawdę nie jesteśmy”. Ten sam arcy-



źródło:unsplash.com

biskup zwracał uwagę na pewną ważną, acz nieoczywistą rzecz – mianowicie, że pycha może działać niejako „w dwie strony”. Chodzi o to, że wywyższanie się i uważanie za lepszego od innych to tylko jedna z postaci pychy. Drugą jest niezdrowe poniżanie się, uważanie za gorszego od innych i z tego powodu godnego szczególnych względów. Mamy z nią do czynienia, gdy ktoś użala się nad sobą, chcąc zwrócić na siebie uwagę i usprawiedliwiać w ten sposób swoje błędy. Ta druga postać pychy jest we współczesnym świecie wyjątkowo częsta – być może nawet

powszechniejsza niż pierwsza. Należy uważnie odróżniać ją od szczerej pokory, która charakteryzuje się zawsze dążeniem do bycia lepszym człowiekiem.

Pokora – cnota współcześnie niepopularna – jest bowiem przeciwieństwem pychy. Podstawą pokory jest właściwe zrozumienie swojej pozycji w zbawczym planie Boga, a więc uznanie się za dzieło Jego rąk i przyjęcie tego faktu jako podstawy postrzegania świata. Szczególną lekcją pokory jest kontemplacja Krzyża Chrystusa, który – będąc Bogiem – poniósł

straszną śmierć za nasze grzechy. Pokorę rozwija się również poprzez pielęgnację posłuszeństwa – kolejnej bardzo „niedzielskiej” cnoty. Czy jednak nie to miał na myśli Symeon, mówiąc o „znaku, któremu sprzeciwić się będą” (Łk 2,34)?

Pokusa niełatwa

Kolejne grzechy główne związane są z naszym własnym ciałem i tym, co posiadamy – można by je określić jako niewłaściwe korzystanie z Bożych darów. Pierwszym z nich jest **chciwość**, dotycząca sfery naszej własności. Chciwością jest więc nie tylko chorobliwa pożydlliwość bogactw, ale też zbytne przywiązanie do tego, co już się posiada. Św. Robert Bellarmin w *Wykładzie nauki chrześcijańskiej* (rozdział XIX) wskazuje, że lekarstwem na tę wadę jest szczodroblliwość w dawaniu jałmużny: „zważając na to, iż jesteśmy pielgrzymi i przechodnie na tej ziemi – przeto pożytecznie jest nie obciążać się rzeczami, lecz dzielić je między towarzyszy pielgrzymki, którzy je nam do Ojczyzny zanoszą; a będąc mniej obciążeni, raźniej odbędziemy drogę naszą”.

Następna jest **lubieżność** – jak to śpiewał Kaczmarek, „pokusa niełatwa”. I rzeczywiście, wada polegająca na braku upo-

rządkowania sfery naszej seksualności jest pokusą trudną i często współcześnie lekceważoną. Tymczasem prof. Plinio Corrêa de Oliveira słusznie stawiał ją tuż obok pychy, jako jeden z głównych motorów napędowych antykatolickiej rewolucji. Katolicka moralność to jedyna droga do uporządkowania sfery seksualności, a co za tym idzie – zaprowadzenia ładu w swoich emocjach i całym życiu. Jej odrzucenie prowadzi do szczególnego zniewolenia i upodlenia, toteż właśnie te punkty nauczania Kościoła są najmocniej atakowane – niestety, coraz częściej również od wewnątrz. Nieczystość to wyjątkowo perfidna i skuteczna broń w ręku Szatana – dość wspomnieć, za kard. Bellarminem, że z jej powodu upadli nawet Samson, Dawid i Salomon. Dlatego tak ważne jest pilne strzeżenie się przed pokusami i zwalczanie nawet najmniejszego ich przejawu poprzez kierowanie swojego rozumu ku sprawom czystym i wysokim.

Na pierwszy rzut oka może zaskakiwać obecność w tym zestawieniu **nieumiarkowania w jedzeniu i piciu**. Jest to jednak poważna wada, związana ze sferą zaspokajania naszych potrzeb fizjologicznych. I to nowe określenie – „nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu”, zamiast

używanego dawniej terminu „łakomstwo” czy „obżarstwo”, jest moim zdaniem bardziej adekwatne – właśnie ze względu na owo „nieumiarkowanie”. Jest to po prostu termin szerszy. Nieumiarkowanie to nie tylko obżarstwo – w tej kategorii możemy zmieścić również łamanie postów, niezdrowe odżywianie, pijaństwo czy w zasadzie każdy przejaw braku umiaru, prowadzący do przytępienia rozumu, a nawet zniewolenia. I oczywiście nie trzeba przypominać, że okazjonalny burgerek, zimne piwko, chipsy do meczu, czekolada, sushi, wódeczka, kawałek tortu, a nawet lampka stule-

niego szampana i kawior (jak kogoś stać) nie są same w sobie niczym złym. Problem pojawia się właśnie wtedy, gdy zaczyna brakować umiaru. Aby do tego nie dopuścić, należy pielęgnować w sobie cnotę wstrzemięźliwości – do tego celu Kościół w swojej mądrości przewiduje rozmaite posty i formy pokuty.

Po cichu zabija

Jakkolwiek każda z wad głównych jest zakorzeniona w naszym wnętrzu i bierze początek w źle uformowanym sumieniu, tak ostatnie trzy mają charakter jeszcze bardziej du-



chowy niż pozostałe. Pierwsza z nich – **lenistwo** – odnosi się do stanu określanego greckim słowem *acedia*. Acedia to nie jest zwykłe lenistwo, wynikające ze zmęczenia czy zniechęcenia; jest to stan permanentnej apatii, braku entuzjazmu, zaangażowania, nadziei i sił duchowych. Obrazowo ten stan opisał Ewagriusz z Pontu: „Mnich siedzi w swojej celi, jednak tam nie wytrzymuje. Ciągłe wygląda przez okno, czy czasem ktoś nie przyjdzie w odwiedziny. Nie może doczekać się pory na posiłek i żali się na Boga, że czas tak wolno płynie. Potem czyta trochę Biblię, lecz wtedy robi się senny. Podkłada Biblię pod głowę, ale złości się, że jest ona za twarda, by na niej spać. Mnich staje się płaczliwy, ponieważ nie otrzymuje tego, czego chce. Problem w tym, że sam nie wie, co to jest” (*Acedia – duchowa depresja. Wybór tekstów*, Kraków 2008). Nie jest to więc tylko „rozkoszne lenistwo”, dotyczące sfery naszej obowiązkowości – acedia wkracza głębiej, w sferę odpowiedzialności, aktywności duchowej oraz przekonania o sensowności podejmowanych działań. Przejawów acedii nie wolno ignorować, ponieważ może się ona wiązać nawet z depresją.

Niejako na drugim biegunie stoi **gniew**. Przedostatnia z wad głównych dotyka sfery naszych

emocji, a przez to rzutuje również na sferę relacji z drugim człowiekiem oraz postrzegania nas przez innych. Oczywiście, gniew może być słuszny; Pismo Święte wspomina nawet o sytuacjach, w których rozgniewał się sam Bóg (np. Sdz 2,14 czy opis wypędzenia kupców ze świątyni w J 2,13-25). Św. Bazyli miał powiedzieć, że gniew jest jak pies – dobry, jeśli warczy na nieprzyjaciół, a zły, jeśli rzuca się również na przyjaciół (por. kard. Bellarmin R., *Wykład nauki chrześcijańskiej*, rozdział XIX). Kiedy więc gniew jest zły? Wtedy, gdy jest niesłuszny, gdy

przestajemy nad nim panować, gdy prowadzi do nienawiści oraz gdy pod jego wpływem grzeszymy. Słusznie podsumował to we wspomnianym dziele św. Robert Bellarmin, zauważając, że „gniew nieporządnym podobny jest do szaleństwa”. Jako lekarstwo przeciw grzechowi gniewu wskazuje on ćwiczenie się w cnocie cierpliwości i łagodności, ze szczególnym wskazaniem na czerpanie przykładu z życiorysów świętych.

Tak jak możemy mówić o dobrym i złym gniewie, tak podobnie można wyróżnić dobrą



źródło:unsplash.com

i złą **zazdrość**. Uczucie zazdrości może przecież działać motywująco. Może również pchnąć nas do bardziej intensywnej pracy nad sobą – nieraz zdarza się, że zazdrościmy komuś tego, że jest bardziej pobożny, cierpliwy czy mądrzejszy i właśnie ta zazdrość prowadzi nas do pracy nad tymi obszarami życia. Zazdrość staje się jednak złą wówczas, gdy zaczyna być obsesją i nie kieruje nas ku dobru, lecz ku grzechowi. Złą zazdrość można poznać także po tym, że bardziej szkodzi zazdroszczącemu niż temu, komu zazdrości, ponieważ odbiera mu spokój i radość z życia. Jest to więc wada dotycząca sfery naszych relacji z drugim człowiekiem, na którą najlepszym lekarstwem jest ćwiczenie się w cnocie miłości bliźniego i cierpliwości.

Moce, na które jest lekarstwo

To oczywiście tylko krótki przegląd wad głównych – o każdej z nich napisane zostało wiele więcej, szczególnie jeśli chodzi o sposoby ich zwalczania. Chyba jednak nikt nie może mieć wątpliwości, że pokonywanie ich jest bardzo ważne i powinniśmy kłaść na nie szczególny nacisk. Skoro bowiem najskuteczniej leczy się przyczyny chorób, a nie objawy – tak samo najskuteczniej eliminuje się choroby duszy

poprzez przewycięzanie ich źródeł, czyli grzechów głównych. Co więc należy robić?

Myślę, że przede wszystkim trzeba mieć świadomość zagrożeń związanych z wadami głównymi. Powinniśmy pamiętać, że każdy z naszych grzechów jest odwróceniem się od Boga, a więc stanem w pewien sposób nienaturalnym dla dziecka Bożego. Jest to każdorazowo mniejszy lub większy dramat niepostuszeństwa, co do którego musimy dołożyć wszelkich starań, aby więcej się nie powtórzył. W tym celu powinniśmy dobrze zastanowić się nad tym, co spowodowało, że w danej sytuacji nasze sumienie przegrało z pokusą. Warto więc przy rachunku sumienia odnieść nasze grzechy do grzechów głównych – szukając przyczyn każdego występkę, prędzej czy później dotrzemy do jednego z punktów z listy, której poświęcony jest ten artykuł. Wówczas będziemy mogli stwierdzić, które z wad głównych są naszym problemem w największym stopniu i skupić się na przewycięzaniu właśnie ich.

Praca nad sobą, walka z grzechem, zwalczanie pokus – ale czy to w ogóle możliwe? Tak, i właśnie z tą nadzieją pragnę Cię, Drogi Czytelniku, zostawić. Podmiot liryczny z piosenki

Kaczmarek myli się, stwierdzając: „zbrojni w moce, na które nie ma lekarstwa, będziemy dalej stawiać i zwać mocarstwami”. Otóż, jak to starałem się zasygnalizować w tym tekście, na każdą z wad głównych istnieje specjalne lekarstwo. Ćwiczenie się w cnotach, unikanie okazji do grzechu, modlitwa, kontemplacja – Kościół przez wieki wykształcił i opisał mnóstwo sprawdzonych sposobów, o których z racji objętości mogłem tu tylko wspomnieć. Tym bardziej powinniśmy więc mieć w pamięci słowa św. Jana Kasjana: „Nie wszyscy podlegamy tym samym pokusom i każdy z nas powinien przede wszystkim zmagać się z tym wrogiem, który najbardziej go atakuje” (*Collationes Patrum* V 25. 27). Starajmy się zrozumieć, które wady główne dotyczą nas w największym stopniu, aby łatwiej było je pokonywać.

Jeśli w powyższym artykule znalazło się jakiegokolwiek stwierdzenie niezgodne z nauczaniem Kościoła Katolickiego, natychmiast je odwołuję.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?

Filozofia na czas kryzysu



Jan Borowski

W sierpniowym numerze „Adeste” szukamy źródeł obecnego kryzysu Kościoła. W tych poszukiwaniach chciałbym choć na chwilę pochylić się nad filozofią chrześcijańską. Jaki jest jej wpływ na nasze postrzeganie Kościoła i wiary? Jaką strategię powinni przyjąć katolicy filozofowie i teologowie, aby poprzez poznanie prawdy prowadzić ludzi do Chrystusa?

Temat jest niezwykle szeroki, dlatego nie mam złudzeń, że w jednym, pewnie nieco nudnym artykule uda się go omówić dogłębnie i bez uproszczeń. Chciałbym jedynie pokrótce zarysować obecną sytuację i zastanowić się, co można zrobić, aby było lepiej. Nie trzeba przecież powtarzać, że filozofia była obecna w Kościele od zawsze, że wpływała na jego kształt i stanowiła pewnego rodzaju podporę prawd wiary. Przez kryzysy przechodziła nie raz, nie dwa, lecz zawsze jakoś się z nich wydestawiała.

Dobra rada papieża Leona

Jeden z takich kryzysów przypadł na wiek XIX. Spowodowany był, opisując z grub-



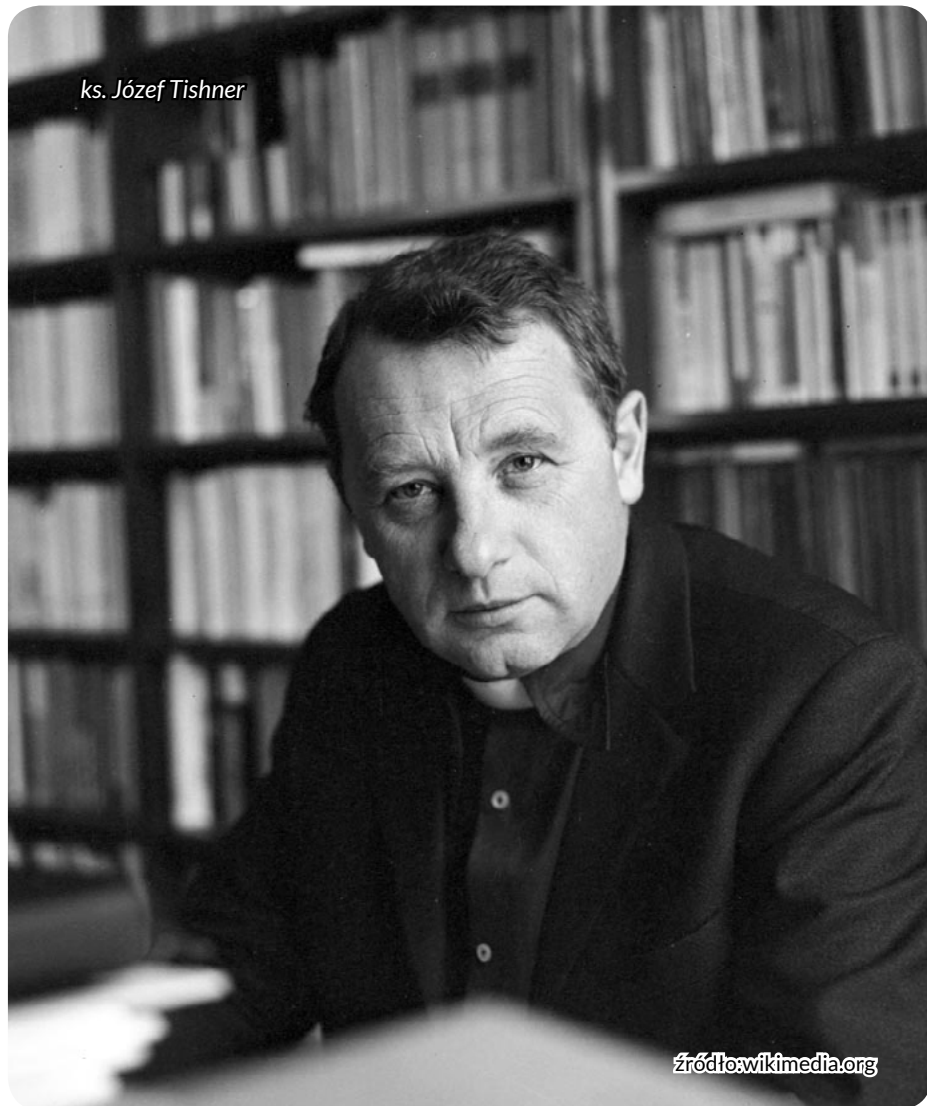
źródło: pixabay.com

szą, panoszącymi się w Kościele rzymskim modernizmem i wszechobecną filozofią świecką. Jak zauważają historycy, od czasu wybuchu rewolucji francuskiej papieże bardzo wiele uwagi poświęcali tępieniu nowoczesnych prądów myślowych, nie wskazując jednak dla nich atrakcyjnej alternatywy. Potrzeba było niemal wieku, aby w duchu I Soboru Watykańskiego problem rozważył Leon XIII. Receptą na wyjście z kryzysu, jego zdaniem, miał być tomizm.

„Was wszystkich, Czcigodni Bracia, wytrwale zachęcamy, abyście dla ochrony i ozdoby wiary katolickiej, dla dobra społeczeństwa, dla rozwoju wszystkich dyscyplin naukowych przywrócili do dawnej świetności złotą mądrość świętego Tomasza i jak najszerszej ją rozpropagowali” – brzmią słowa papieskiej encykliki *Aeterni Patris* (1879). Założeniem papieża było więc odnowienie scholastyki, dostosowanie jej do warunków współczesnego świata.

Oczekiwania kontra rzeczywistość

Cel był szczytny, oczekiwania ogromne. Efekty – w gruncie rzeczy nie najgorsze. Trzeba uznać niebagatelny wkład neotomistów w rozwój myśli chrześcijańskiej. Wiele problemów zdołali oni rozwiązać z dobrym skutkiem, w zamian pojawiły się jednak kolejne. Narastały one stopniowo, a grono przeciwników neotomizmu poszerzało się. Wśród nich znalazł się ks. Józef Tischner. Polak, filozof, w eseju *Schyłek chrześcijaństwa tomistycznego* (1970) nie wahał się obarczyć tego stanowiska filozoficznego odpowiedzialnością za większość problemów doktrynalnych Kościoła. Współczesna filozofia „śmierci Boga” miała być, jego zdaniem, reakcją na definicję natury Stwórcy autorstwa św. Tomasza. Spór o istnienie i granice prawa naturalnego wiąże się z koncepcją podstaw etyki wg Akwinaty. Nowoczesne przyrodoznawstwo – od Galileusza i Darwina poczynawszy – atakuje antropocentryczną wizję przyrody, przy której uparcie trwa teologia chrześcijańska. Definicja substancji zaproponowana przez doktora anielskiego jest natomiast przestarzała i nie najlepiej sprawdza się w teologicznych zawiłościach, dotyczących na przykład Eucharystii. I tak dalej, i tak dalej...



Pojmowanie Niepoznawalnego

Choć praca Tischnera miała charakter raczej luźnego opracowania, zapoczątkowała całkiem poważny spór między nim a środowiskiem katolickich filozofów skupionych wkoło KUL-u (z o. Mieczysławem Krąpcem na czele). Prawda leżała zapewne gdzieś pomiędzy. W niektórych punktach nie sposób jednak nie przyznać racji krakowskiemu myślicielowi. Jak zauważa, wskutek syntezy chrześcijaństwa z tomizmem

„w pewnym momencie dziejów teologia stała się służebnicą filozofii” – dokładnie na odwrót niż chciał św. Tomasz (*Myślenie według wartości*, 2002, s. 213). Role się odwróciły.

Zdaniem Tischnera był to skutek konieczny. Tomizm dążył bowiem do stworzenia systemu obejmującego całość chrześcijaństwa. Wiecznych prawd wiary chciał dowieść za pomocą przemijającego i ograniczonego rozsądku. Nieskończonego Stwórcę – opisać ludzkimi słowami. „Jak w łonie każdej filo-

zofii ukryta jest negacja samej siebie, tak w chrześcijaństwie ukryta jest cicha negacja każdej filozofii chcącej jego treść wyczerpać bez reszty” – pisze dalej ks. Tischner (*tamże*, s. 223). Pojawia się tutaj kolejne pytanie: do jakiego stopnia Boga można poznać rozumowo? Czy możliwe jest w ogóle stworzenie filozofii chrześcijańskiej?

Krótką dygresja o słomie

By odpowiedzieć na te pytania, wrócimy na chwilę do postaci samego Akwinaty. Na jakiś czas przed śmiercią miał on ponoć wizję Chrystusa. Wizję, która podziałała na niego tak dogłębnie, że dorobek swojego życia nazwał słomą, a *Summę* pozostawił niedokończoną. Zajął się natomiast interpretacją *Pieśni nad Pieśniami*, zwanej najbardziej mistyczną księgą Starego Testamentu. Komentarz, który do niej napisał, nie zachował się niestety do czasów współczesnych. Pozostała jednak ta prosta anegdota, nad którą warto nieco pomyśleć. Filozof Tertulian w III wieku po Chrystusie stwierdził, że wierzy dlatego, że to absurdałne – *credo quia absurdum*. Paradoks, a jednak dający pewien wgląd w istotę chrześcijaństwa. Główne prawdy wiary, jak prawda o wcieleniu czy o Trójcy Świętej, wykraczają poza granice ludzkiego poznania. Sama

istota Boga jest niepoznawalna i nieopisywalna. Jak bowiem ten, który jest wszystkim, miałby dać się zamknąć w marnym ludzkim umyśle? W czasach, gdy nawet nauka coraz jaśniej dostrzega swoje granice, nie sposób dążyć do pełnego i systematycznego opisu Stwórcy. Dlatego wcale rozsądne wydaje się podejście mistyczne – pokora przed niepoznawalnym. I choć filozofowie i teologowie spoglądają nierzadko na myślicieli pokroju Mistrza Eckharta z delikatnym ironicznym uśmiechem, trzeba przecież przyznać, że w ostatecznym

rozrachunku to oni lepiej poznali i opisali naturę Boga – właśnie przez nazwanie Go niepoznawalnym.

A jednak filozofii potrzeba

Do pewnego stopnia Bóg daje się nam jednak poznać. Całe Objawienie zawarte w Piśmie Świętym przekazuje prawdę o Nim. Na tej podstawie zbudowano potem dogmaty i Tradycję. A dogmaty naturalnie potrzebują pewnego wytłumaczenia – to właśnie rola teologii. Filozofia od teologii różni się



tym, że unika wszelkich założeń, jest niezależna od jakiegokolwiek systemu wierzeń. Opiera się wyłącznie na tym, co rozum może poznać sam z siebie. Tego rozróżnienia dokonał zresztą sam św. Tomasz – choć jego zdaniem na mocy samego tylko rozumu człowiek może upewnić się co do istnienia Boga, co jest tezą dość dyskusyjną. Gdy zajmujemy się rozważaniem podanej tu definicji, bardzo wątpliwe okaże się to, czy może w ogóle istnieć tak zwana filozofia chrześcijańska. Z jednej strony widzimy, że pod tym szyldem działa całkiem spora grupa filozofów i że mają się oni dobrze. Z drugiej, chcąc być wiernym definicji, wypadałoby nazwać ich raczej teologami. Mniejsza jednak o nazwy. Tym, do czego nawoływał papież Leon, jest pogodzenie Objawienia z rozsądkiem. Jeżeli tylko nie popadamy w zbytnie zadufanie i zadowalamy się niecałościowym opisem Boga, pogodzenie *fides* (wiary) i *ratio* (rozumu) jest jak najbardziej możliwe.

Pogodzić teologię z filozofią

Kłopot jednak w tym, że teologia i filozofia zaczynają pracę od dwóch różnych stron. Dobrze byłoby, gdyby obie spotkały się w połowie drogi, dochodząc do tych samych wniosków. Tak się jednak często nie dzieje. Nieko-

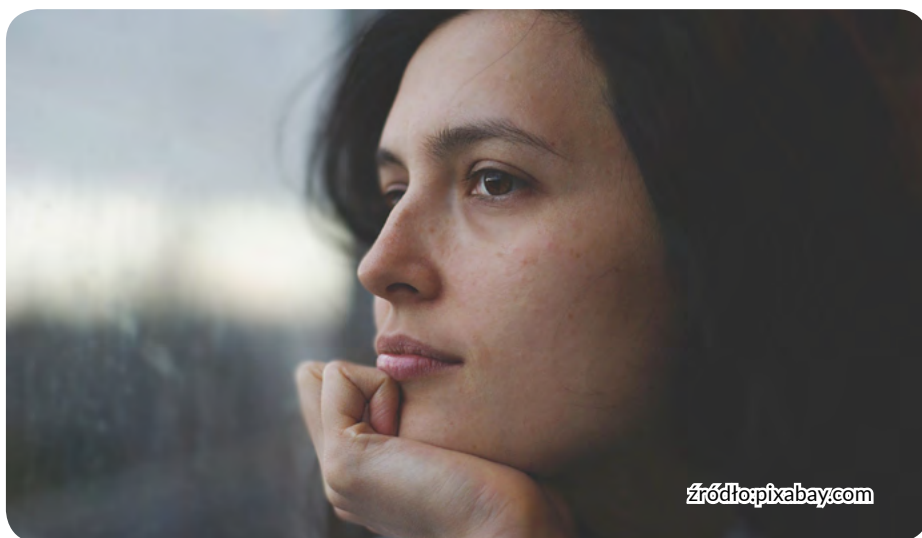
niecznie błąd musi wówczas leżeć po stronie filozofii. Teologia, spekulując na podstawie Objawienia, także może dojść do wniosków błędnych – jak było chociażby ze wspomnianym antropocentryzmem. Papież Leon ostrzegał przed tym w swej encyklice, zaznaczając, że jeśli „coś zostało przez uczonych scholastycznych przebadane ze zbytnią prostotą, bądź za mało rozważnie przekazane, jeśli jest niezbyt przystające do osiągnięć naukowych późniejszych stuleci, lub wreszcie z jakiegokolwiek innego powodu jest nie do przyjęcia, tego oczywiście nie należy pod żadnym zobowiązaniem podawać naszym współczesnym”. Punktem zbieżnym obu tych dyscyplin jest prawda – może nawet pisana wielką literą. Gdy różnymi drogami dążymy do Prawdy, mamy pewność, że wyjdziemy w jednym, tym samym miejscu. Jest bowiem jedna Prawda. Dlatego na pochwałę zasługuje każdy, kto

swymi rozważaniami prowadzi ludzi do jej poznania. Być może nawet większe zasługi mają ci, którzy robią to bez odwoływania się do dogmatów, ponieważ ich przekaz nie jest ograniczony wyłącznie do ludzi wierzących. Jeżeli chcemy więc pogodzić teologię z filozofią, nie osiągniemy tego raczej przez czynienie z tej drugiej służebnicy pierwszej. Zupełnie różne podejścia badawcze sprawiają, że te dwie dyscypliny są niejako nieprzystające. Mówią innym językiem, co sprawia, że próby scalania ich obu wychodzą im na szkodę. Najlepszą drogą wydaje się więc niezależność – niepodporządkowane i swobodne dążenie do Prawdy.

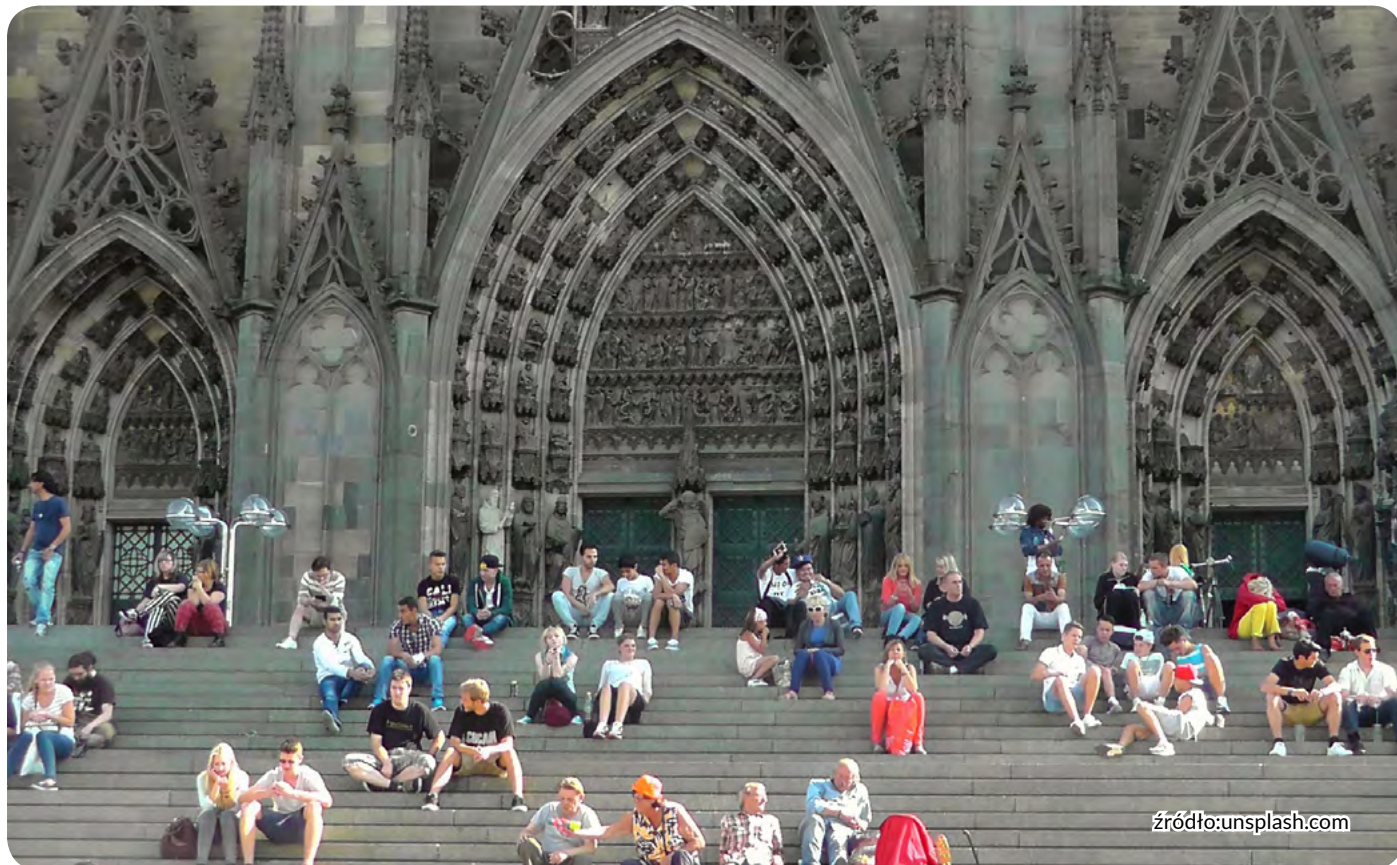
Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



źródło: pixabay.com



Brygada Kryzys próbuje się dogadać – o jedności katolickiej w trudnych czasach



Jan Buczyński

Bez pamięci o fundamencie Eucharystii, korzeniu Credo i perspektywy misyjnej wspólnota Kościoła staje się jedną z wielu organizacji tego świata. Jego wyjątkowość, polegająca na „komunii różnorodności”, współistnieniu wielu różnych środowisk pozornie wykluczających się nawzajem, w tych wspólnych wartościach widzi gwarancję trwałości. W czasie kryzysu Kościoła (choćby obecnie w Polsce) jest to szczególnie istotne. Nie chodzi o to, by „pięknie się różnić” – gra idzie o coś znacznie ważniejszego niż miłe wrażenie na zewnątrz.

Wiele mówi się o dialogu, jaki Kościół prowadzi ze światem, całą ludzkością, z przedstawicielami innych religii (tzw. dialog międzyreligijny), oraz z wyznawcami innych wspólnot chrześcijańskich (tzw. dialog ekumeniczny). Stosunkowo mało mówi się natomiast o dia-

logu wewnątrz Kościoła katolickiego – najczęściej, niestety, stwierdzając jego brak. Na początku każdego roku, w styczniu, gdy trwa Tydzień Modlitw o Jedność Chrześcijan, można odnieść wrażenie, że brakuje podobnego namysłu nad jednością katolicką.

Kościół – komunია różnorodności

Wspólnota Kościoła to synteza przeciwności, zbiór paradoksów. Sam Bóg łączy w sobie wiele sprzeczności, nie do objęcia ludzkim rozumem: tajemnica Trójcy Świętej, jednocześnie

i pełne bóstwo i człowieczeństwo Chrystusa, dziewicze macierzyństwo Bogarodzicy i tak dalej. Historia Kościoła nie przestaje zadziwiać: łączy Wschód z Zachodem, wypełnia dziełnictwo Jerozolimy nowością Ewangelii, krwią męczenników zasila nowe szeregi wyznawców Chrystusa. Wzorem świętości może być dla katolika zarówno wytrawny teolog-intelektualista, jak i prosty analfabeta, przeżywający w swym sercu czystą wiarę.

Termin „katolicki” wywodzi się najczęściej od greckiego słowa *katholikós*, co oznacza „powszechny” (powszechność jest zresztą jednym z czterech jego przymiotów, obok jedyności, świętości i apostołskości). Jest mi jednak bliska dokładniejsza etymologia tego wyrazu, podana przez Vittorio Messoriego: *katáolon*, czyli „według wszystkiego”. Znaczy to, ni mniej, ni więcej, że w Kościele katolickim jest kompletność, *et-et* (i-i) obejmujące całość każdej rzeczywistości. Włoski dziennikarz pisze tak:

„W gabinecie mam wielkie zdjęcie Bernadetty [Soubirous], które podarował mi rektor sanktuarium. W swojej ubogiej chustce, z różańcem za dwa grosze, nadąsana spogląda na fotografa (tylko przez posłuszeństwo zgadzała się na te sesje). Z zawie-

zionej na drugiej ścianie słynnej sangwiny, naszkicowanej na żywo przez Jeana Domata, spogląda na mnie młody chłopak, inny Francuz: Blaise Pascal. Uboga prostytutka i fenomenalny naukowiec; mała nowicjuszka, która gdy siostry chciały, by medytowała, odpowiadała: »Ale ja nie umiem medytować!«, oraz autor najgłębszych myśli; prorokini nieznająca nawet katechizmu i badacz otchłani teologii. Ta dwójka reprezentuje dla mnie dwa bieguny katolickiego *et-et*: u niej wiara jako instynkt i codzienne doświadczenie, u niego – jako ostateczna – odpowiedź rozumu; prości i mądrzy, ubodzy i bogaci, nieznani i sławni – wszyscy zjednoczeni w *Credo*” (A. Tornielli, *Dlaczego wierzę. Życie jako dowód wiary. Wywiad z Vittorio Messorim*).

Można powiedzieć, że w Kościele jest wszystko, do wyboru, do koloru. Wielość wspólnot, ruchów kościelnych, charyzmatów i tradycji sprawia, że w zasadzie każdy – ze swoją wrażliwością liturgiczną, intelektualną a nawet emocjonalną – może odnaleźć w Kościele swoje miejsce, środowisko. Można różnie stawiać akcenty, ale jednocześnie być razem i inność drugiej osoby traktować jako wartość (wynikającą z wolności), a nie uporczywy brak jednolitości. Pokusa, żeby wszyscy byli tacy sami, mieli ta-

kie same kompetencje (i prawa), nie ma nic wspólnego z *communio* Kościoła, jego pierwotną i najpiękniejszą cechą.

Fundament: ołtarz Eucharystii

Symbolika ołtarza, na którym odprawia się Ofiarę Mszy Świętej, jest bogata. Według przepisów liturgicznych powinien on być kamienny, przytwierdzony do podłoża, w czym ma przypominać kamień Golgoty. W temacie jedności we wnętrzu Kościoła to tym bardziej obrazowe, że zwraca uwagę na trwałość, silny i niemożliwy do oderwania fundament: Jezusa Chrystusa, z którym spotykamy się na Eucharystii. Kardynał Ratzinger tak pisał w 1982 roku: „Punktem konstrukcyjnym najstarszej eklezjologii jest eucharystyczne zgromadzenie – Kościół jako *communio*. Stąd pochodzi nie tylko specyficzne dla całej jego struktury przenikanie się jedności i wielości, ale jest także fundament jedności Chrystusa i Kościoła, który uniemożliwia rozdzielenie widzialnego Kościoła od Kościoła Ducha, Kościoła jako organizacji i Kościoła jako misterium: Kościół jest konkretną *communio*, która poza tym nigdzie nie istnieje.” (J. Ratzinger, *Theologische Prinzipienlehre*, Monachium 1982, s. 266–267, [cyt. za:] J. Morawa,



Eklezjologia »communio eucharistica« Josepha Ratzingera, „Teofil” 1 (2008), s. 103).

Dla mnie osobiście to największe poczucie kościelnego „bezpieczeństwa”: widzę wielu katolików mających różne ode mnie poglądy polityczne, społeczne, a nawet teologiczne, z wieloma z nich mogę się na różne tematy spierać (czasami ostro), a kiedy spotykamy się wokół ołtarza Chrystusa, wszystko to przestaje mieć znaczenie, jesteśmy wspólnotą, mamy wspólny korzeń, fundament, który nas jednoczy. To jeszcze bardziej uwidacznia się w przypadku duchownych: księża piszą artykuły, wypowiadają się w mediach, na

portalach społecznościowych, piszą do różnych redakcji na co dzień niemal się zwalczających i nie mających prawie w ogóle punktów stykowych, ale spotykają się przy ołtarzu, koncelebrują Eucharystię i przekazują sobie wzajemnie Jezusowy znak pokoju.

Eucharystia nas wyróżnia spośród wszystkich innych wspólnot na świecie – bez niej Kościół byłby jedną z wielu instytucji/organizacji, do tego wewnętrznie podzieloną i wewnętrznie skłóconą. Wspólnota ołtarza scala nas w jedno tajemnicą Ofiary i Uczty. Dlatego, przy okazji wielu różnych dyskusji wewnątrz Kościoła, głównie pu-

blicystycznych (a tym bardziej, gdy dochodzi do rzeczywistego spotkania się, np. na jakiejś konferencji naukowej, panelu dyskusyjnym itp.) brakuje nieraz skoncentrowania się na wspólnie celebrowanej Mszy Świętej, jako na zworniku jedności katolików.

Korzeń: Credo i jego granice

Drugą klamrą, która spaja różne środowiska wewnątrz Kościoła, jest wierność Prawu Bożemu, przypominanemu i wyjaśnianemu przez Magisterium Kościoła. Tutaj sprawa się nieco komplikuje, bo od kilku dekad mamy do czynienia z nasilającym się zjawiskiem wykorzystywa-



nia autorytetu kościelnego (np. papieża lub biskupa) do usprawiedliwiania swoich poglądów, niekoniecznie zbieżnych w pełni z Tradycją Kościoła lub wręcz sprzecznych z przekazem Pisma Świętego.

Zwykle różne dylematy katolików powinny skupiać się na pytaniu: „jak?”, a nie: „czy?” – np.: „jak dobrze i skutecznie bronić wartości życia ludzkiego od poczęcia do naturalnej śmierci?”, a nie „czy w pewnych przypadkach usprawiedliwiać zabicie

nienarodzonego dziecka?”; „jak mądrze i kompleksowo pomagać potrzebującym, cierpiącym, emigrantom itp.?”; a nie „czy pomagać?”.

Ważne są również granice, ich rodzaj oraz hierarchia ważności spraw. Bez świadomości granic, których nigdy, w żadnych okolicznościach nie można przekroczyć, dyskusja może wymknąć się poza ramy ortodoksji i podryfować w kierunku jałowego sporu, na który raczej szkoda czasu. Takimi granicami

są np. wspomniana świętość życia ludzkiego (wynikająca z Dekalogu), nierozzerwalność małżeńska albo kwestia święceń kapłańskich, zarezerwowanych w Kościele katolickim jedynie dla mężczyzn (wynikająca z Tradycji i autorytatywnego nauczania papieskiego). Istnieją również granice, których źródło leży w dyscyplinie, zwyczaju kościelnym albo aktualnych potrzebach, o których można twórczo dyskutować i przyjmować, że w pewnym momencie mogą być zniesione lub przesunięte. Będzie to na przykład kwestia celibatu duchownych, konkretne przepisy liturgiczne, styl sprawowania funkcji kapłańskiej lub biskupiej itd. – uporczywe trzymanie się dotychczasowych rozwiązań w tego typu tematach i deprecjonowanie drugiej strony debaty wewnątrz Kościoła za to, że ośmiela się podważać rzekomo niezmiennie ustalenia, są z pewnością nieuczciwe i nieewangeliczne.

Żeby urobić katolików

Pamiętajmy, że Jezus dał nam przykazanie miłości, a nie przykazanie przyjaźni – czyli nie mamy obowiązku się lubić, ale mamy obowiązek się kochać. W czasach większego lub mniejszego kryzysu jest to wezwanie do większej solidarności, wzajemnego wsparcia, szacunku



źródło:unsplash.com

i „kibicowania” współbraciom zwłaszcza wtedy, gdy przycho-
dzą ataki z zewnątrz wspólnoty
Kościoła. W takich okoliczno-
ściach dialog między katolikami
musi jeszcze silniej opierać się
na Eucharystii i Credo, a poza
tym musi mu towarzyszyć troska
o misyjność Kościoła, o wzmac-
nianie katolików szczególnie
zagubionych lub zasmuconych
zewnętrznymi okolicznościami.

Papież Paweł VI w encykli-
ce *Ecclesiam Suam* z roku 1964
napisał o tym w ten sposób: „Na
koniec nasz dialog kieruje się ku
synom, będącym w domu Bo-
żym, to jest w jednym, świętym
i apostołskim Kościele, które-
go Kościół Rzymski jest »matką
i głową«. Jakżebyśmy chcieli,
ażeby taką rodzinną rozmowę

cechowała pełnia wiary, miłości
oraz dobrych uczynków. Jak bar-
dzo pragniemy, żeby była częsta
i zażyta. Żeby była na oścież
otwarta na wszystkie prawdy,
wszystkie cnoty i wszystkie du-
chowe dobra, zawarte w dzie-
dzictwie chrześcijańskiej nauki.
Żeby była szczerą, a zarazem
znajdowała podniecie w rzetel-
nej pobożności. Ogromnie skora
do wysłuchiwanie przeróżnych
głosów współczesnych nam lu-
dzi. I wreszcie tak przydatna do
urobienia katolików na ludzi na
wskroś dobrych, rozważnych,
wolnych, zrównoważonych
i mężnych” (nr 113).

Jest popularne powiedze-
nie, że można się pięknie różnić.
W Kościele chodzi o coś więcej:
nie o zewnętrzne oznaki kultury,

dobrego wychowania i przyjem-
nego usposobienia. Jak najbar-
dziej możemy się między sobą
kłócić, nawet ostro spierać,
szczególnie o rzeczy najważniej-
sze. Jednak świadomość wspól-
noty ducha i przynależności do
niebieskiej ojczyzny, trwalszej
niż wszystkie inne więzy na zie-
mi, w pewien sposób zmusza
nas do miłosiernego patrzenia
na drugiego jak na współbrata,
nawet gdy po ludzku działa nam
mocno na nerwy.

Gdy jakąś rodzinę spoty-
ka czas kryzysu, zachwiania się
choćby zewnętrznych oznak
ładu, trwałości i bezpieczeń-
stwa, to pomimo naturalnych
różnic między poszczególnymi
członkami cała rodzina podświa-
domie stara się być razem, pa-
miętać o tym, co najważniejsze
i istotne, wspierać się wzajem-
nie. Podobnie jest z państwem
w czasie wojny i istniejącymi
wewnątrz niego różnymi stron-
nictwami politycznymi. Czy ana-
logicznie w Kościele również
o tym pamiętamy? W końcu je-
steśmy rodziną dzieci Bożych.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



źródło:unsplash.com

Szukam, o Panie, Twojego oblicza



Patryk Kępczyński

Wątpić to rzecz ludzka. Jeżeli ktoś nie wątpi, to podchodzi do życia bezrefleksyjnie, jest ignorantem. Bez tego aktu wątpienia można ludziom „wcisnąć” wszystko – że ziemia jest płaska, że świat ma nie więcej niż 6000 lat, że bogowie mieszkają w chmurach i piją wino, spoglądając na śmiertelników, że szczepionki to zawsze trucizna... Należy podawać w wątpliwość ważne dla naszego życia sprawy, a chyba nie ma nic ważniejszego dla katolika niż jego wiara. Lecz czasem to, co jest dobre, może stać się przekleństwem, krzyżem lub wręcz czymś prowadzącym ku rozpacz.

Przychodzi okres, kiedy zakochujesz się, masz przysłowio-
we motylki w brzuchu, nie jesz i nie śpisz. Po swoim nawróceniu
zakochałem się w Chrystusie
i Kościele – mogłem bez przerwy
wpatrywać się w Niego, być co-
dziennie na mszy, spowiadać się
z drżeniem i ze łzami w oczach,

widząc po drugiej stronie kratki
samego Chrystusa mówiącego:
„Odpuszczam ci grzechy”. Czy
nie miałeś takiego momentu?
Może teraz go przeżywasz? Po-
 prostu jest pięknie. Ale z czasem
to się zmienia, u mnie przynaj-
mniej tak się stało.

Wątpić rzecz ludzka?

Przychodzą wątpliwości.
Wiadomo, to zdrowe i oczysz-
czające. Dzięki nim wyzbyłem
się wiary naiwnej, a – jak mi się
wydaje – nabyłem wiarę racjo-
nalną, o której można powie-
dzieć, że nie lęka się rozumu

i prawdy o rzeczywistości. Jednak z racjonalizmem łatwo przesadzić. Wypełniał on całe moje życie, spędzał sen z powiek. Kiedy jadłem, leżałem, zasypiałem, w mojej głowie szalała burza – meandry teologii i filozofii nie dawały mi spokoju. Wydawałoby się, że nie wystarczało wtedy miejsca dla Boga, ale ono jednak pozostało i chyba dzięki temu trzymałem się wiary, choć trochę osłabiony – bo zmęczony, po ludzku, myśleniem. Za dużo tego było – problem początku świata, przyczyny wszechrzeczy, problem cierpienia... Mają rację ci, którzy mówią, że co za dużo, to niezdrowo. I nie, to nie teologia i filozofia oddalają od Boga, lecz błędna hierarchia rzeczy ważnych. Wątpić rzecz ludzka, lecz zdrowe wątpienie to nie to, które wypełnia nasze życie.

Grzech

Nic tak nie oddala od Boga jak grzech. Nagle coś pęka i to, co człowiek próbuje od siebie odsuwać, uderza z całą siłą. Dochodzę do momentu, gdzie nie różnię się czasem czynami od osoby niewierzącej. Gdy wątpisz, żyj tak, jakby Bóg istniał. Jednak kiedy wierzysz, a żyjesz, jakby Bóg nie istniał, to masz dopiero problem! Jak to zrobić, by wierzyć i żyć przyzwoicie? To naprawdę możliwe. Jest dobra wiadomość – chociażby od-

wrócił się od Boga, to Bóg nigdy nie zapomina o tobie i o ciebie walczy. Jeżeli żyłeś bardzo blisko Boga, to tym bardziej nie zapomnisz, jak kiedyś było pięknie i będziesz miał(a) różne poruszenia, które powiedzą: „Hej, życie tak nie może wyglądać. Grzech nie daje szczęścia”. Jeśli się czegoś wystrzegasz, to często możesz tego tym bardziej pożądać. Grzech próbuje sprawić wrażenie atrakcyjnego, ale kiedy go doświadczysz, wiesz, że to jedynie marność – marność nad marnościami.

Ciemność

Nie potrafimy przejrzeć, chociaż często chcemy. Naszą ciemnością jest nasza grzeszność. Każdy z nas w czymś to nie – jedni w nienawiści, drudzy w chciwości, jeszcze inni w nieczystości. Wszystko to prowadzi nas na dno. Nie jakieś zwykłe

dno, bo to często dno dna. Budzisz się z myślą, że dziś będzie inaczej – „nie tym razem, będę od dziś inny”. I co? Przychodzi wieczór, leżysz już w swoim łóżku i właśnie uświadamiasz sobie, że żaden z ciebie święty, a zwykły Judasz. Przychodzi więc naturalnie moment załamania i poczucie utraty sensu.

On uwalnia, oddaj się

Skoro grzech nas zatapia, to gdzie miejsce na Boga? Czy Bóg nie jest święty? Jest. Więc jak może święty dotknąć nieświętego, brudnego i śmierdzącego? Jednak jest Ktoś, kto pochyla się nad nami. Dotyka nas. Bierze w swoje ramiona. Któż jest takim wariatem? Oto stawiam przed wami tego Wariata... Patrzcie, to Chrystus. To ten Wariat, który oddał wszystko. I co my mamy robić? Jaka jest nasza rola? Dlaczego On to robi?



źródło: pexels.com

Czego żąda w zamian? Jednego, a mianowicie oddania się. Po prostu akceptacji tego, że jesteś słaby i powiedzenia: „Ty, Panie, działaj”. Ale nie chodzi o to, że ma działać za ciebie, lecz o to, że wskazuje ci drogę, a ty nią idziesz. Idziesz na swoich nogach, jak się nie ruszysz, to siedzisz. I jak dostąpić tej łaski, by prowadził nas i zachęcił do ruszenia się? Bierzmy przykład ze ślepcy. To ten niewidomy pod Jerychem. Co on tam zrobił? Zawołał do Jezusa: „Jezusie, Synu Dawida, ulituj się nade mną!”. Ci, którzy byli w tłumie, zaczęli go uciszać, więc ten głośniejsze: „Jezusie, Synu Dawida, ulituj się nade mną!”. I wtedy Pan Jezus przystanął, kazał go przyprowadzić i zapytał: „Co chcesz, abym ci uczynił?”. Niewidomy na to: „Pa-

nie, żebym przejrzał”. I przejrzał. I Ty dziś zawołaj. Powiedz: „Panie, nie widzę od lat, chcę przejrzeć”. Do ciemności musisz wpuścić światło, a jest nim Chrystus. Trwaj w modlitwie, zapraszaj Go do swojego życia i proś o siłę do współdziałania z łaską.

Twoja pustynia

Mojżesz wędrował z wyzwoleńcem ludem czterdzieści lat. Nie dlatego, że zabłądzili, ale dlatego, że Najwyższy chciał ich oczyścić, nauczyć szukać Pana i dążyć do Niego całym sercem, aby uwierzyli Jego obietnicy. Czterdzieści to liczba symboliczna. Oznacza ona trud, zmaganie, pokutę i karę, oczyszczenie się i odrodzenie do nowego życia. Kiedy doświadczasz braku

obecności Boga w swoim życiu, nie widzisz działania ręki Bożej, to możesz być pewny/a, że jesteś wyprowadzony/a na pustynię. Jezus był również na pustyni, nawet On musiał tego doświadczyć. Tak jak się burzy stary budynek, żeby wybudować nowy i piękny, tak i Bóg może dopuścić do zburzenia Twojej wiary, by stała się ona czymś lepszym i wspaniałym.

Odpocznij we mnie

Bracie, siostró, na pewno wątpisz często ponad miarę i już nie wiesz, czy Bóg istnieje, czy Cię kocha i chce w ogóle mieć z Tobą coś wspólnego. Bywa, że już nie czujesz. Grzech Cię zatapia i po prostu brzydzisz się sobą, tymi obietnicami, że już teraz na pewno się zmienisz. Idź przed Najświętszy Sakrament, proś Pana o to, żeby działał w Twoim życiu. Odpocznij w Nim. Czasem nawet nie trzeba nic mówić, wystarczy wpatrywać się w Niego, bo w Nim jest upragnione odpocznienie.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



źródło: pixabay.com



źródło:pexels.com

Kłamstwo ma krótkie nogi



Piotr P. Ulrich

Czy ludziom odpowiada sytuacja, gdy ktoś w ich otoczeniu jest nieautentyczny w swoich słowach i zachowaniach? Przeważnie nie, co rozumiacie. Co jednak, gdy przeniesiemy to pytanie na inną płaszczyznę: przyjdziemy do kościoła i sprawowana tam Liturgia wyda się nam nieautentyczna? Czy ktoś zwraca na to uwagę? Jakie jest miejsce prawdy i autentyczności w kulcie Bożym? Na te oraz pokrewne pytania będzie można znaleźć odpowiedź w niniejszym felietonie.

Zwykło się kult Boży w Kościele określać mianem „rzeczywistości”. Termin ten w odniesieniu do aktów liturgicznych pozostaje często niezrozumiały, co z pewnym smutkiem wykażę poniżej. Dlaczego Liturgia to rzeczywistość? Łatwiej będzie odpowiedzieć na to pytanie, gdy

przytoczymy dwie słownikowe definicje tego pojęcia: „1. »to, co istnieje naprawdę« 2. »sytuacja lub warunki, w których ktoś żyje, coś się odbywa«”. Rozważmy więc odniesienie Liturgii do „rzeczywistości” w tychże dwóch ujęciach, które w tej materii ściśle się łączą i uzupełniają.

Wprowadzenia słów kilka

„To, co istnieje naprawdę” – czyli po prostu to, co realne, prawdziwe i obiektywne. Liturgia musi być właśnie prawdziwa w każdym swoim szczególe. Wynika to z jej sakralnego i teocentrycznego charakteru. Kieruje



źródło:wikimedia.org

ona nasze zmysły w stronę Boga, w którym nie mogłoby znaleźć miejsca kłamstwo. Inaczej zachodziłaby w nim wewnętrzna sprzeczność – a jakże taka mogłaby zaistnieć w bycie nieskończenie doskonałym? Wreszcie – Bóg **jest** Prawdą. Skoro zaś Liturgia ma odnosić nas do Boga i jednocześnie do Niego prowadzić, nie może być w niej kłamstwa, nieprawdy. Kult Boży musi być więc przeniknięty na wskroś autentyzmem. Wkraczamy tutaj na grunt drugiego punktu definicji, a więc „**sytuacji lub warunków, w których ktoś żyje, coś się odbywa**”. Liturgia jest określoną rzeczywistością, czyli przestrzenią zachodzenia pewnych uwarunkowań. Nie jest to teatr, w którym ktoś odgrywa przez chwilę wyznaczoną mu rolę, a potem z niej wychodzi bez

żadnych konsekwencji. Liturgia jest **naprawdę** rzeczywistością, osobną płaszczyzną funkcjonowania. Podczas jej sprawowania obecny jest Bóg w swoich własnych Osobach. Podczas Liturgii jednoczy się ściśle cały Kościół – pielgrzymujący, tryumfujący i cierpiący: „Przez Niego Twój majestat chwalą Aniołowie, uwielbiają Państwa, z lękiem czczą Potęgę, Niebiosą i Moce niebios oraz błogosławieni Serafini we wspólnej wystawiają radości. Z nimi to, prosimy, dozwól i naszym głosom wołać w pokornym uwielbieniu...”.

Patrząc na Mszę Świętą, będącą centrum kultu katolickiego, doskonale widzimy jej prawdziwość i autentyzm: jest przecież prawdziwą ofiarą, tą samą, którą Chrystus złożył na

drzewie krzyża. Nie uczestniczymy w powieleniu samego jej obrazu, przedstawiającą ją spektaklu, ale autentycznie – w niej samej.

Istota Liturgii jest więc prawdziwa. Nie jest inscenizacją, pustym przedstawieniem, umoralniającym teatrykiem, ale autentyczną, uświęcającą nas rzeczywistością. Kult Boży ma nas podnosić ku niebu, jak wzywa nas dialog przed prefacją: *sursum corda!* („w górę serca”). Liturgiczna rzeczywistość musi być prawdziwa i autentyczna, ponieważ inaczej pozbawiona byłaby swojej mocy dydaktycznej, głębokiej wartości przekonywania, swojej tendencji do konwersji jej uczestnika. Jakże mielibyśmy dążyć do Obiektywnej, Boskiej Prawdy, uczestnicząc w jej kłamliwej karykaturze? Tylko uczestnicząc w świętej, **prawdziwej** rzeczywistości możemy zbliżyć się do Królestwa Niebieskiego, do którego jesteśmy przeznaczeni, do Królestwa Prawdy.

Nikt nie zauważy...

Kilkanaście lat temu zasta- nawiałem się, jak to się dzieje, że świece w moim kościele parafialnym zawsze mają tę samą wysokość. Jako dziecko, skupiony na rozmyślaniu o powolnym i nadzwyczaj równym spalaniu

się świec, zobaczyłem, jak siostra zakrystianka podchodzi do świec i wyjmuje z nich pojemniczki z przezroczystą cieczą. Wszystko stało się jasne. Zawsze równe świece okazały się jedynie plastikowymi rurami z wkładem z łatwopalnym płynem i umocnionym w nim knocie. Niestety, taka rzeczywistość jest powszechna w polskich realiach (istnieją od tego oczywiście chlubne wyjątki). Przepisy liturgiczne jasno jednak mówią o świecach, a nie o lampkach olejowych. Do kuriozum dochodzi natomiast, gdy przychodzi okres wielkanocny i pojawia się

potrzeba zapalenia paschału. Z tym bywa już lepiej, ponieważ w polskim świątku liturgicznym coraz częściej używa się paschałów woskowych lub chociażby parafinowych (więc można mówić o rzeczywistym ich spalaniu). Zdarzają się jednak ośrodki liturgiczne, często duże i znaczące, w których zamiast świece paschalnej mamy do czynienia z długą, plastikową rurą (czasem oklejoną woskiem z zewnętrznej strony) z olejowym wkładem, do której przyklejone są przewidziane przez mszał symbole. Najśmieszniejsza sytuacja ma miejsce, gdy diakon lub jeden z księży, po okadzeniu tejże rury, śpiewa o niej: „W tę noc pełną łaski przyjmij, Ojczy Świąty, wieczorną ofiarę uwielbienia, którą Ci składa Kościół święty, uroczyste ofiarując przez ręce swoich sług tę świecę, owoc pracy pszczelego roju. [...] Chociaż dzieli się on używając światła, nie doznaje jednak uszczerbku, żywi się bowiem strugami wosku, który dla utworzenia tej cennej pochodni wydała pracowita pszczoła”. Niektórzy żartobliwie mówią, że aby uniknąć swobodnego oszukiwania wiernych, księża powinni zmienić słowa starożytnego hymnu i „pszczeli rój” nazwać raczej pracownikami rafinerii. Żarty żartami, ale zarówno w przypadku zwykłych świec, jak i paschału, często mamy do czynienia

z najzwyklejszym kłamstwem, które podaje się nam na tacy. Ludzie w końcu nie zauważają, że to nie jest prawdziwa świeca...

Nikt nie usłyszy...

W zdecydowanej większości kościołów w naszym kraju co niedzielę każdy z nas słyszy dźwięk organów – w grze solowej albo akompaniamencie liturgicznym. Na szczęście bardzo często są to organy piszczałkowe, o których wspominają dokumenty soborowe, takie jak konstytucja o liturgii świętej *Sacrosanctum Concilium* (KL 120). Wielokrotnie jednak w miejsce prawdziwych organów, w których dźwięk wytwarza powietrze przepływające przez piszczałki, pojawiają się instrumenty zwane organami elektronicznymi. W praktyce są one albo syntezatorami, albo odtwarzają dźwięki pojedynczych piszczałek nagrane wcześniej (tzw. sample). Gdy takie rozwiązania mogą być dopuszczalne jako przejściowe, na przykład w nowo powstałych parafiach, w których **jeszcze** nie wybudowano prawdziwego instrumentu, to jednak bardzo często organy elektroniczne są kupowane do kościołów jako docelowy instrument, a głośniki, z których wydobywa się dźwięk, chowane są za jednym rzędem niemych piszczałek tworzących prospekt sztucznych organów.



Niestety, sprawa może posunąć się jeszcze dalej. Na stronach internetowych hurtowni z wyposażeniem kościołów znaleźć można urządzenie nazywane „automatycznym organistą”. Do obsługi takowego nie potrzeba już nawet muzyka kościelnego. Wystarczy pilotem włączyć odpowiednią ścieżkę dźwiękową i całą świątynię wypełnia słodki dla uszu dźwięk organów i śpiew. Czyż to nie wspaniałe?



Bo liczy się jakość!

W zakres tematyczny liturgicznego autentyzmu z pewnością wpisać można też kwestię **jakości** paramentów liturgicznych. Z punktu widzenia logiki to, co przeznaczone do kultu Bożego, powinno być dobrej jakości.

Doskonałym przykładem dla poparcia tegoż twierdzenia będzie opis postawy świętego Jana Marii Vianneya: „Mimo zmęczenia, chciał koniecznie sam w dniu tym odśpiewać sumę i z wielką radością po raz pierwszy włożył na siebie wspaniały ornat z niebieskiego aksamitu, bogato haftowany w złote arabeski. Do ornatu tego dał mu wzór architekt Bossan. Prezbiterium i nawa główna przybrane były jak najwspanialej”. W przypisie znajdujemy zaś informację, iż za wyżej wspomniany ornat

zapłacono 1400 franków, a więc sumę niemałą.

Przez wieki do produkcji ornatów używano drogiego jedwabiu czy też złotogłowiu, zaś na alby i obrusy przeznaczano najlepsze, naturalne płótna – lniane i bawełniane. Wydaje się, że nie ma w tym nic zdrożnego, ponieważ dla Boga wypada przygotować to, co najlepsze. Do innego wniosku można by dojść, przeglądając ofertę sklepów z liturgicznym asortymentem. Większość ornatów wykonana jest z „drogiego” poliestru, elany lub też plastikowego brokatu. Alby również szyte są przeważnie z materiału, którego naturalnym nazwać nie można. Wiele osób nie nałożyłoby nic z takich tkanin, gdyby chodziło o ich własne ubrania. Dlaczego więc przy sprawowaniu Liturgii kwestia ta jest tak lekceważo-

na? Z pewnością chodzi o pieniądze. Koszt ornatu wykonanego z jedwabiu, bez większych ozdób, wynosi w Polsce niecałe 3000 złotych, zaś szaty wykonane z poliestru, elany czy brokatu będziemy w stanie kupić w sklepach już za trzycyfrową sumę. Przytoczę w tym momencie powtórnie przykład świętego proboszcza z Ars, który mawiał, że „wytarta sutanna zyska przy pięknym ornatie”. Negował on własną przyjemność i wygodę na rzecz pięknych paramentów. Niewątpliwie była to jego osobista ofiara na rzecz Boga.

Koń trojański

Niektórzy mogliby, po przeczytaniu powyższego, wydać osąd, iż autor w tym artykule zapragnął wylać swoje żale i wyżyć się niejako na polskich realiach liturgicznych. Chciałbym jednak

popatrzyć na wszystkie te wyżej opisane przypadki przez pryzmat pierwszej części mojego tekstu. Wszystkie te szczegóły: oszukane świece, sztuczne organy, szaty złej jakości stanowią casus pewnej próby zakłamania liturgicznej rzeczywistości. Ludziom, dla których Liturgia stanowić ma szkołę wiary i pobożności (zgodnie z zasadą *lex orandi lex credendi* – „jak się modlisz, tak też wierzysz”) zapewne to nie pomaga. Powinni oni chłonąć głębiej liturgicznych znaków każdym możliwym zmysłem, aby duchowo znaleźć się w tym przedsionku nieba, który stanowi kult Boży. Co jednak, jeśli coś ogranicza ich w tym pojmowaniu symboli? Dopuszczając brak autentyzmu do Liturgii, nie rozumiejąc potrzeby jej **rzeczywistego i prawdziwego** charakteru, wprowadzamy sami tro-

jańskiego konia do swojej wiary i pobożności. Kłamstwo pozostaje obiektywnie złe, ponieważ sprzeciwia się istocie Boga, który jest nieskończoną, doskonałą Prawdą.

Nieistotne szczegóły?

Na liturgiczną rzeczywistość nie składają się tylko te znaki, które mają charakter istotowy, uświęcający, sakramentalny. Gdyby tak było, można by ograniczyć cały kult do samego sprawowania sakramentów i sakramentaliów, bez żadnego ceremoniału. Cały rytuał towarzyszący symbolom o charakterze istotowym ma na celu przede wszystkim ukierunkowanie ludzkich zmysłów na to, co rzeczywiście dzieje się w kościele, a ponadto stanowić dla wiernych duchową szkołę. Ludzie mają spalać się dla Boga, wychwalać Go w świętym zgromadzeniu jak rzędy piszczałek organowych i ofiarować Mu to, co najlepsze.

Wielokrotnie słyszałem w dyskusji argument „Pan Jezus się nie obrazi za coś tak małego”. Rzecz w tym, że cała Liturgia składa się z tak małych rzeczy. Co więcej: „Kto w drobnej rzeczy jest wierny, ten i w wielkiej będzie wierny; a kto w drobnej rzeczy jest nieuczciwy, ten i w wielkiej nieuczciwy będzie”

(Łk 16, 10) – powiedział nasz Pan. Niniejszy tekst chciałbym zakończyć apelem do wszystkich, którzy mają jakikolwiek wpływ na kształt i wygląd Liturgii w swoich środowiskach. To nam, Kościołowi, Pan Jezus powierzył ten skarb. Proszę Was, drodzy kapłani, którzy to czytacie: dbajcie o autentyzm w kulcie Bożym, dbajcie o jego najmniejsze szczegóły, bo dla nas, świeckich wiernych, jest to bardzo istotne. Proszę także Was, drodzy przyjaciele, którzy nie nosicie koloratek: jeśli macie świadomość takich „kłamstewek” w waszym liturgicznym otoczeniu, powiedzcie o tym swoim duszpasterzom. Nie przekłamujmy Liturgii Świętej! Bądźmy wierni nawet w najmniejszych rzeczach, z czystej miłości do Pana, do którego prowadzi cała Liturgia w każdym szczególe – abyśmy mogli się zachwycić **Nim samym** – Bogiem wiecznym, żywym i **prawdziwym**.

Bibliografia: Jan Maria Vianney. Kapłan z Ars na rok kapłański (za: jednoczymysie.pl)

*Spodobał Ci się ten tekst?
Masz własne zdanie?
Chcesz o coś zapytać?*



Obraz przedstawiający św. Roderyka w ozdobnym ornaty. Aut. Bartolome Esteban Murillo.

źródło: wikimedia.org



źródło:unsplash.com

„Hej, ha! Kolejkę nalej! Hej, ha! Kielichy wznieśmy!”



Marceli Hejwowski

Czy zastanawialiście się kiedykolwiek, skąd w Kościele ruch abstynencki? Czy znacie jakikolwiek papieski dokument o abstynencji? Czy myśleliście kiedyś, że picie alkoholu to grzech? Czy sądzicie, że Polacy to naród alkoholików? Czy uważacie pomysł Episkopatu Polski, aby sierpień uczynić miesiącem trzeźwości za trafny?

Moje odpowiedzi na powyższe pytania to dwa razy „tak” i trzy razy „nie”. Wokół spożycia alkoholu i jego zjawiska wtórnego (występującego przynajmniej od czasów cywilizacji sumeryjskiej), czyli abstynencji, pojawiło się w Polsce sporo kontrowersji. Dlatego właśnie na miesiąc trzeźwości, którym z woli Episkopatu jest sierpień,

przedstawiam państwu skromny esej, w którym wyleję swoje żale, nadzieje i obiekcje związane z trzema głównymi „kagańcami” oświaty abstynenckiej.

Źródła abstynencji

Najpierw jednak rzecz najważniejsza. Co o powstrzymaniu się od alkoholu mówi Kościół?

Zarówno Stary Testament, jak i Nowy w wielu miejscach ganią pijaństwo, tj. nadużywanie wina i sycery (czyli niskoprocentowego napoju alkoholowego sporządzanego nie z winorośli, ale głównie z daktyli, zbóż lub miodu). Na przykład Księga Przysłów ostrzega przed przesadnym rozkoszowaniem się winem: „Nie patrz na wino, jak się

czerwieni, / jak pięknie błyszczą w kielichu, / jak łatwo płynię [przez gardło]: / bo w końcu kąsa jak żmija, / swój jad niby wąż wypuszcza” (23, 31–32). Z kolei św. Paweł zaznacza jasno: „[...] zazdrość, pijaństwo, hulanki i tym podobne. Co do nich zapowiadam wam, jak to już zapowiedziałem: ci, którzy się takich rzeczy dopuszczają, królestwa Bożego nie odziedziczą” (Ga 5, 21).

Wielokrotnie jednak wzmianki o alkoholu mają wydźwięk pozytywny, nawet i w Ewangeliach. Był on bowiem powszechnym, podstawowym trunkiem. Stosunek Pisma Świętego do picia można by przedstawić w wyważonym stanowisku Koheleta, który pisze, że „jest czas rodzenia i czas umierania, / czas sadzenia i czas wyrwania tego, co zasadzono, / czas zabijania i czas leczenia, / czas burzenia i czas budowania, / czas płaczu i czas śmiechu, / czas zawodzenia i czas płasów, / czas rzucania kamieni i czas ich zbierania, / czas pieśzczoł cieleśnych i czas wstrzymywania się od nich” (3, 2–5). Jest czas picia i czas abstynencji – można by dodać. Intrygującą sprawą pozostaje również instytucja nazireatu opisana w szóstym rozdziale Księgi Liczb. Nazirejczycy przyrzekali na pewien czas nie zbliżać się do zwłok, nie ścinać

włosów i, co nas interesuje, powstrzymywać się od wszelkich napojów alkoholowych. Ślub dotyczył również octu z sycery, bezalkoholowego octu winnego, a uogólniając – wszelkich napojów pochodzących z winorośli. Wydaje się zatem, że nie alkohol był w tym wyrzeczeniu materią decydującą. Celem miało być głównie powstrzymanie się od substancji zażywanych na co dzień, aby surowym postem uczcić Boga. Nie pojawia się w opisie nazireatu wezwanie do powszechnej abstynencji.

Kościół kontynuował tę linię, ganiąc pijaństwo, ale nie negując, jak robią to islam czy niektóre protestanckie grupy, sensu istnienia alkoholu w ogóle. Bardzo precyzyjnie ujął nauczanie Kościoła na ten temat Pius XII w liście do prezesa niemieckiego stowarzyszenia abstynenckiego Kreuzbund z 1929 roku: „Katolik w trunkach nie widzi trucizny, lecz jeden z darów Bożych. Winna latorośl została nawet przez Stwórcę upatrzona na przedziwną osłonę tajemnicy Eucharystii. [...] Ostrożne i umiarkowane używanie napojów alkoholowych nie jest grzechem. Ale nadużycie alkoholu jest grzechem, a tam, gdzie staje się powodem smutnych następstw, grzechem ciężkim, a nawet wołającym o pomstę do nieba. Umiarkowanie i abs-

tynencja są w pierwszej linii naturalnymi środkami panowania nad sobą i dlatego, jak wszystkie inne siły czysto naturalne, nie są zdolne do wyrobienia moralnie mocnych charakterów. Lecz tam, gdzie wzrastają one na gruncie silnej woli, na którą pada nadprzyrodzona rosa łask, są one bardzo cennymi i nieodzownymi środkami do wytworzenia równowagi między ciałem i duszą, materią a duchem, której Bóg się domaga. Kościół katolicki nie może się zgodzić na przymus całkowitej prohibicji. Obowiązek całkowitej abstynencji zachodzi tylko wtedy, gdy inaczej nie można opanować namiętności. Lecz dobrowolna abstynencja w celu zadośćuczynienia za grzechy nadużycia alkoholu, dawania bliźnim dobrego przykładu i powstrzymywania ich od nadmiernego spożycia trunków wyskokowych jest apostołstwem, które Kościół św. popiera i uznaje, pochwała i błogosławi”.

PARPA i pieniądze

Jeżeli zaś chodzi o Rzeczpospolitą Polską, to źródłem prawnym dla abstynencji jest PRL-owska ustawa z dnia 26 października 1982 roku o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi. W latach osiemdziesiątych na mocy tego właśnie aktu po-



wstała Państwowa Agencja Rozwiązywania Problemów Alkoholowych. Sama zaś ustawa w rzeczywistości nie wnosi niczego nowego w tę sprawę, co stwierdzić można, czytając fragment z już początku dokumentu, który brzmi następująco: „Zadania w zakresie przeciwdziałania alkoholizmowi wykonuje się przez odpowiednie kształtowanie polityki społecznej, w szczególności: 1) tworzenie warunków sprzyjających realizacji potrzeb, których zaspokajanie motywuje powstrzymywanie się od spożywania alkoholu; 2) działalność wychowawczą i informacyjną; 3) ustalanie odpowiedniego poziomu i właściwej struktury produkcji napojów alkoholowych przeznaczanych do spożycia w kraju; 4) ograni-

czanie dostępności alkoholu; 5) leczenie, rehabilitację i reintegrację osób uzależnionych od alkoholu; 6) zapobieganie negatywnym następstwom nadużywania alkoholu i ich usuwanie; 7) przeciwdziałanie przemocy w rodzinie; 8) wspieranie zatrudnienia socjalnego poprzez finansowanie centrów integracji społecznej” – większość z tych podpunktów to zalecenia czysto paternalistyczne, tj. działania ograniczające wolność, a motywowane jedynie rzekomym dobrem jednostki. Typowe PRL-owskie rozwiązania: „Problem z alkoholizmem? Powołajcie agencję, która zajmie się zapewnieniem odpowiedniej odległości między sklepami, »strukturą produkcji napojów alkoholowych« i powtarzaniem

sloganów o lobby alkoholowym. To na pewno zadziała. Co może pójść nie tak?”. Jest to prawdziwe kuriozum, że wciąż stosujemy w tej kwestii PRL-owską ustawę (nie jest to zresztą w III Rzeczypospolitej odosobniony przypadek).

Stanowi to również sztandarowy przykład hipokryzji komunistów. Całe dekady rozpijali naród, w swoim czasie zdelegalizowali Krucjatę Trzeźwości – organizację założoną przez ks. Franciszka Blachnickiego, sami często spożywali bez umiaru alkohol, a w obliczu problemu posługiwali się frazesami o abstynencji.

„Słuchajcie, to jest butelka z XVII wieku, do której dziedzic nalewał wódkę. I rozpijał tą wódką pańszczyźnianych chłopów. Proszę, idziemy dalej. Nie ruszać tego proszę, nie wolno! To jest butelka z... XVIII wieku, w której podawano gorzałkę, bo wódkę nazywano gorzałką albo okowitą. Do takich butelek nalewano wódkę i rozpijano tą wódką pańszczyźnianych chłopów” – przypomina mi się słynny monolog z *Bruneta wieczorową porą* Barei. Do kwestii alkoholu również odnosi się paradoks, że proletariat „wyzwolony” przez władze Rzeczypospolitej Ludowej to właśnie przez nie był najbardziej niszczone i gnębiony.

Co więcej, PARPA istnieje do dziś i wciąż funkcjonuje jako instytucja rządowa III Rzeczypospolitej. Nikt nie pomyślał, że biurokratyczną strukturę można rozwiązać, a całe jej pieniądze przekazać przykładowo Ministerstwu Zdrowia – chociażby na leczenie skutków alkoholizmu. A byłoby co przekazywać.

Cytuję za tekstem PARPA i pańszczyźniani chłopci Łukasza Warzechy: „[...] na podstawie sprawozdania finansowego PARPA za 2016 rok – 6,8 mln złotych. To pieniądze znacznie większe niż te, którymi na bieżące działania dysponuje choćby najważniejszy polski państwowy *think-tank* zajmujący się polityką zagraniczną – Polski Instytut Spraw Międzynarodowych.

Z tego 2,8 mln to »koszty biurowe«, w tym prawie 1,8 mln złotych to wynagrodzenia. 3,6 mln złotych PARPA wydała na »działania zlecone z zakresu przeciwdziałania alkoholizmu«. Jakie to działania? Prawie 667 tys. na »zwiększanie dostępności i skuteczności pomocy terapeutycznej dla osób uzależnionych od alkoholu i członków ich rodzin«. 92 tys. na »wdrażanie do systemu ochrony zdrowia metod wczesnej diagnozy i krótkiej interwencji wobec pacjentów nadużywających alkoholu«. Niemal 200 tys. na »rozwijanie

profilaktyki szkolnej, rodzinnej i środowiskowej w zakresie problemów alkoholowych«. 496 tys. na »doskonalenie i rozwijanie form i metod pomocy psychologicznej i socjoterapeutycznej dla dzieci alkoholików«. 790 tys. na »rozwijanie form i metod przeciwdziałania przemocy w rodzinach alkoholowych« (w tym dwie umowy dotacyjne na 380 tys. złotych). 331 tys. na »wspieranie społeczności lokalnych w rozwiązywaniu problemów alkoholowych i przeciwdziałanie nietrzeźwości w miejscach publicznych«. 743 tys. na »prowadzenie i wspieranie edukacji publicznej w zakresie problemów alkoholowych« [...] 93 tys. na »monitorowanie i doskonalenie narodowej strategii rozwiązywania problemów alkoholowych oraz wspieranie strategii regionalnych w tym zakresie«. 238 tys. na »inicjowanie, prowadzenie i promowanie badań diagnostycznych i ekspertyz w zakresie problemów alkoholowych«”.

Niestety do nowszych danych trudno się dokopać, bo PARPA nie chwali się zbytnio swoimi rozliczeniami. Warto zauważyć – co Warzecha zresztą robi – że prawie połowa puli wydawana jest na samą instytucję, a pozostałe cele ujęte zostają bardzo ogólnikowo. Które z nich przyniosły skutek? Które z nich

warte były sfinansowania? Na co konkretnie przeznaczono fundusze? Czy to ma sens?

„Jestem szefem PARPA od 12 lat i w zasadzie co roku spożycie rośnie. 12 lat porażek” – powiedział wprost zwolniony w czerwcu dyrektor agencji, Krzysztof Brzózka, w wywiadzie dla Grzegorza Sroczyńskiego. Po co więc w ogóle było wydawać pieniądze na kosztowną instytucję, skoro nie spełnia ona swojego zadania?

Polacy – mityczny naród alkoholików

Tymczasem wcale nie jest z nami tak źle. Spożywamy około jedenastu litrów czystego alkoholu *per capita* rocznie. O trzy litry więcej od rzekomych ośmiu litrów na głowę w PRL-u. Piszę „rzekomych” ze względu na to, że po pierwsze szkoda wierzyć w jakiegokolwiek oficjalne statystyki z tamtego okresu, a po drugie wiele nasłuchiwałem się od ludzi ówczesznie żyjących, którzy wspominali, jak wszechobecna była wtedy wódka.

W Europie w picie wyprzedzają nas takie kraje jak Francja czy Belgia. Co prawda nadal plasujemy się w pierwszej dziesiątce (od badania zależy, które to miejsce), ale trendy pokazują, że mądrzejemy. Pijemy mniej wódki, preferujemy piwo lub wino.



źródło:unsplash.com

Rozkwita rynek piw rzemieślniczych i regionalnych, często niskoprocentowych – nie boimy się już również tych całkowicie bezalkoholowych. Mamy ogromny, jak na nasz kontynent, współczynnik abstynentów – jest to około 19% społeczeństwa. Wielu z nich to abstynenci pierwotni (którzy, w odróżnieniu od wtórnych, nigdy napojów procentowych nie spożywali).

Około 17% Polaków spożywa 70% kupowanego w Polsce

alkoholu. To te 17% obywateli sprawia, że statystyki wyglądają groźnie. Cała reszta nie pije za to w ogóle albo z umiarem, a faktycznych problemów przysparza te 17% społeczeństwa. Z nimi trzeba coś zrobić, z tym się absolutnie zgadzam.

Ale pozwól, czytelniku, że powiem wprost. Możesz się zgodzić lub nie. Te 17% nie jest powodem, dla którego taki człowiek jak ja, pijący z umiarem, ma mieć utrudniony dostęp do

alkoholu. Te 17% nie jest powodem, dla którego mam wyłożyć więcej pieniędzy na ladę, by państwo dostało więcej w akcyzie. Te 17% nie jest powodem, dla którego browarnicy mają jedynie modlić się o klientów, bo państwo zakazuje im reklamowania owoców swojej pracy. Zwłaszcza jeśli znajdujemy się w sytuacji, w której *boom* browarniczy możemy uznać za dzieło polskich przedsiębiorców (niemal cały rynek wódki pozostaje w rękach zagranicznych, o rynku wina nie wspominając). I najważniejsze – te 17% nie jest powodem do tego, bym wciąż słyszał, że Polacy to naród alkoholików.

To nie kwestia regulacji, agresywnej prohibicji, nakładania większych podatków, ale 17%, które oddziałuje na resztę społeczeństwa. Działając odgórnie, nikogo się nie zmieni. Ale niestety ulega się nieraz pokusie myślenia, że jeżeli udzieli się poparcia jakiejś organizacji, najlepiej państwowej, „to oni się tym zajmą i ja już będę miał spokojną głowę”.

Episkopat a alkohol

To smutne, ale wygląda na to, że wspomnianemu kuszeniu uległ również Episkopat. Częściowo oczywiście, ale uległ. Jak inaczej rozumieć powtarzające

się co roku apele, by zmienić prawodawstwo? Podobnie postąpili zresztą biskupi z niedzielami. Woleli poprzeć wadliwy projekt o zakazie handlu w niedzielę (właściwie zakaz handlu w niektórych sklepach w niektórych niedzielach), zamiast zabrać się do pracy organicznej i za dzień, dwadzieścia lat mieć większość społeczeństwa, która nie chce w Dzień Pański pracować oraz kupować w tych nieszczęsnych supermarketach.

Ale do rzeczy. W jednym z materiałów na temat miesiąca trzeźwości znajdują się takie słowa: „Polacy wydali w ubiegłym roku ponad 30 miliardów złotych na alkohol. Spożycie alkoholu na osobę od 15. roku życia wynosi 13,6 litra. Należy do tego dodać od 2 do 3 litrów alkoholu nierejestrowanego. »To nie są jednostkowe problemy – to jest wielki problem społeczny«, podkreślają członkowie Zespołu Konferencji Episkopatu Polski ds. Apostolstwa Trzeźwości. »Zjawisko to dotyka nas w sposób szczególnie upokarzający. Inni mówią o nas: pijany jak Polak«. Stąd apel, by tworzyć warunki prawne i społeczne sprzyjające ochronie trzeźwości. »Konieczny jest więc zakaz reklamy i promocji alkoholu«.

Zespół KEP-u ds. Apostolstwa Trzeźwości kiero-

wany przez bpa Tadeusza Bronakowskiego niestety też prezentuje przekonanie, że chodzi o wprowadzenie jakichś zakazów i praw. Zawsze niepokoił mnie fakt, że bp Bronakowski jest abstynentem pierwotnym. Zastanawiam się, czy nie ma to wpływu na kurs Episkopatu w sprawie alkoholu – czy nie wchodzi w grę jakieś osobiste uprzedzenia bpa Tadeusza Bronakowskiego. To jednak tylko luźne przypuszczenia.

Uważam też za niezbyt trafiony pomysł, by sierpień był miesiącem trzeźwości. Dlaczego sierpień, a nie lipiec albo październik? W sierpniu statystycznie wiele osób ma urodziny, jest sezon grillowy, aura sprzyja szklaneczce piwa z rodziną pod wieczór... Mamy przecież dwa inne okresy, w których podobne wyrzeczenia byłyby właściwsze – Adwent i Wielki Post. Dlaczego promuje się miesiąc „od czapy”, a zapomina się o nich? I dlaczego zachęca się do abstynencji w Wigilię Bożego Narodzenia, skoro nigdy takiej tradycji nie było?

KWC

Na tle tych dwóch polskich organizacji dużo lepiej wypada Krucjata Wyzwolenia Człowieka. Założona została przez ojca Ruchu Światło-Życie, ks. Fran-

ciszka Blachnickiego, który już wcześniej, bo w 1957 roku, powołał do życia Krucjatę Wstrzeźmieliwości, która w szczytowym momencie liczyła około 100 000 członków, a zlikwidowana została w 1960 roku przez bezpiekę. 8 czerwca 1979 r. w Nowym Targu w obecności św. Jana Pawła II ogłoszona została Krucjata Wyzwolenia Człowieka. „Krucjata Wyzwolenia Człowieka zwana też Dziełem Niepokalanej, Matki Kościoła, jest maryjnym ruchem [...], który stoi zdecydowanie na stanowisku całkowitej abstynencji od alkoholu. Krucjata zrzesza w swoich szeregach tylko całkowitych abstynentów i zmierza do tego, aby jak najwięcej ludzi w imię miłości do Niepokalanej nakłonić do decyzji całkowitej abstynencji od alkoholu”, pisał o tym dziele jego twórca. „Przez abstynencję rozumie Krucjata Wyzwolenia Człowieka całkowite i dobrowolne wyrzeczenie się alkoholu jako napoju – pod wszelką postacią i we wszelkiej ilości. Definicja ta nie obejmuje używania alkoholu w innym charakterze np. jako lekarstwa (jeśli alkohol występuje jako składnik prawdziwego lekarstwa) lub w celach liturgicznych. Również spożywanie alkoholu w potrawach np. w tortach lub w cukierkach zasadniczo nie podpada pod pojęcie abstynencji. Z tak określonej definicji abstynencji



źródło:unsplash.com

wynika, że nie chodzi tu o zwalczanie alkoholu jako takiego, ale o zwalczanie zwyczaju picia alkoholu”.

Dalej w *Abstynenckim Credo* KWC czytamy: „Abstynencja w Krucjacie Wyzwolenia Człowieka ma przede wszystkim wartość nadprzyrodzoną jako akt ekspiacji, wynagrodzenia za grzechy pijaństwa. Chodzi w niej o dobrowolne wyrzeczenie się rzeczy – samej w sobie jeszcze nie złej i zakazanej – z motywu miłości Boga i bliźniego”. Jest więc Krucjata w duchu nauczania Kościoła. *Notabene* w *Abstynenckim Credo*... przytaczany jest fragment listu Piusa XII, który i ja zacytowałem.

Osoby podpisujące deklarację członkowską (czyli raczej na całe życie, choć oczywiście można się z niej wypisać w każdej chwili) i kandydaci, którzy wybierają ją na rok, zobowiązują się do powstrzymywania się od napojów alkoholowych i codziennej modlitwy, a obie te rzeczy w intencji jakiegoś człowieka zniewolonego nałogiem.

Krucjata Wyzwolenia Człowieka to największy ruch abstynencki w Polsce. I choć z sympatią się mu przyglądam, mam pewne uwagi.

Obecny moderator generalny Ruchu Światło-Życie, ks. Marek Sędek, z którym miałem

okazję rozmawiać, mówił, że trzeba otworzyć to krucjatowe postanowienie na walkę z innymi formami nałogów niż alkoholizm. Mówił o seksoholizmie, uzależnieniu od hazardu czy zakupoholizmie. Mam jednak wrażenie, że od tego czasu (trzy lata) nic się nie zmieniło. Nadal głównym celem jest alkoholizm, choć na pewno pornografia jest już znacznie groźniejszym zjawiskiem w Rzeczypospolitej niż pijaństwo.

Za mocno nietrafiony uważam zwyczaj zachęcania nieletnich uczestników do podpisywania kandydackich deklaracji na tak zwanych Dniach Wspólnoty na rekolekcjach wakacyjnych.



źródło:unsplash.com

Podejmują oni taką ważną decyzję pod wpływem emocji. Wielu z nich w ogóle nie zna jednak jeszcze smaku alkoholu – jaki to ma sens?

Boli podejście niektórych członków KWC, którzy widzą swoje abstynenckie postanowienie inaczej niż jako formę ascetyzmu – i puszą się, gardzą ludźmi, którzy piją. Taka postawa jest przykra również dla innych krucjatowiczów, którzy często tracą poczucie misji i rezygnują z wyrzeczenia.

Razi mnie też fakt, że KWC, choć rzekomo oddzielona od Ruchu Światło-Życie, często jest narzędziem sortowania oazowiczów na tych gorszych – „pijaków” bez krucjaty (co często jest

nieprawdziwe, bo sporo z nich nie spożywa alkoholu, ale nie chcą po prostu z różnych powodów do niej wstępować) i tych lepszych, którzy prawdziwie zrozumieli myśl Sługi Bożego Franciszka.

Ciekawy też jestem, czy założyciel nie miał jakichś osobistych uprzedzeń do alkoholu. Ostrość, z jaką wypowiada się na temat „niechętnych” oazowiczów czy ludzi broniących prawa do picia z umiarem, każe się poważnie nad tym zastanowić.

Mam zatem swoje uwagi oraz żale, ale oczywiście za chwalebne uważam czyny abstynenckie podejmowane w intencji wyzwolenia Polaków z kajdan zła. Jeśli ktoś rezygnuje

z wódeczki czy piwka w ramach miesiąca trzeźwości albo wstępuje w szeregi KWC, to *chapeau bas*. Za takiego mogę się pomodlić, za takiego mogę wznieść toast. Takiego nie będę zmuszał do picia słynnym „ze mną się nie napijesz?”.

I na koniec chciałbym umieścić fragment z modlitwy KWC: „Niepokalana, Matko Kościoła! Wpatrując się w Ciebie, jako wzór Człowieka w pełni odkupionego i wyzwolonego i dlatego przez miłość bezgranicznie oddanego w Duchu Świętym Chrystusowi, uświadamiamy sobie wieloraką niewolę, w której są uwikłane nasze serca.

Pragnąc w pełni wyzwolić siebie i podać rękę naszym braciom oczekującym objawienia się w nich wolności synów Bożych, zbliżamy się do Ciebie i oddajemy się Tobie, aby wraz z Tobą, mocą tego samego Ducha, który bez przeszkód działał w Tobie, pełniej zrealizować swoją wolność w oddaniu się Chrystusowi, a przez Niego – Ojcu”.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



źródło:unsplash.com

Tak, wierzę!



Jakub Urbaniak

Człowiek jest istotą społeczną. Z jednej strony potrzebuje kontaktu z innymi ludźmi, a z drugiej – te kontakty są nieuniknione. Przynajmniej kilka razy podczas naszego życia musimy zmierzyć się z wejściem w nowe środowisko. Pójście do kolejnej szkoły, rozpoczęcie nauki na uczelni w innym mieście, pierwsza i następna praca. Podczas każdej z tych zmian spotykamy nowych ludzi. Nowych i różnych, a więc mających często odmienne poglądy od naszych. Co jednak zrobić w momencie, gdy zaczyna przeszkadzać im to, co w nas najważniejsze, a więc nasza wiara?

Jakiś czas temu, czekając na egzamin na uczelni, byłem świadkiem niezwykłej sytuacji. Jedna dziewczyna na moment przed wejściem do sali zrobiła koleżance na czole znak krzyża. Nie tylko życzyła jej powodzenia, ale przede wszystkim błogosławieństwa. Jednocześnie

zauważyłem zdezorientowane, czy nawet nieco zażenowane spojrzenia kilku osób stojących niedaleko nich. Prozaiczna sytuacja, a jednak bardzo do mnie przemówiła. **Poruszyła mnie szczerść oraz odwaga tej dziewczyny, a także to, że nie zwracała uwagi na to, co po-**

myślą inni. Po prostu zrobiła to, co uznała w sercu za słuszne, co podpowiedziała jej wiara.

Trudne początki

To nie był odosobniony przypadek. Przez ostatni rok widziałem wiele podobnych, tak

samo jak masę różnych reakcji otoczenia na nie. Rozpoczynając naukę na uczelni i przeprowadzając się do dużego miasta, nie spodziewałem się, że na nowo będę musiał zrozumieć, co znaczy być świadkiem Chrystusa. Pochodzę z małej miejscowości, gdzie niemal każdy jest katolikiem. Również w czasach liceum trafiałem najczęściej na wierzących rówieśników, którzy mieli mniejszy czy większy związek z Kościołem. Teraz jednak musiałem odnaleźć się w środowisku, w którym wiara w Boga nie dla każdego jest sprawą oczywistą, a dla niektórych nawet głupstwem. **Zacząłem zastanawiać się, co powinien zrobić młody człowiek, który musi odnaleźć się w środowisku, w którym nie** zawsze spotka się z przychylnymi komentarzami na temat swojej wiary i innych poglądów. Zwłaszcza w ostatnim czasie, kiedy tyle mówi się o kryzysie Kościoła; kiedy na światło dzienne wychodzą najróżniejsze brudy niektórych duchownych; kiedy wiele osób, a nawet osobistości, nawołuje do walki z Kościołem.

Trudne powołanie

Gdy myślę o tym wszystkim, niemal natychmiast do głowy przychodzą mi słowa Jezusa z piętnastego rozdziału Ewangelii według św. Jana: „Jeśli



źródło:unsplash.com

Mnie prześladowali, to i was będą prześladować” (J 15,20). Każdy z nas słyszał to wiele razy, ale nie wszyscy uświadomili sobie, że znoszenie wszelkich prześladowań to niemal nasze powołanie. Jeszcze dośladniej jest to ujęte w Ewangelii według św. Mateusza: „Błogosławieni jesteście, gdy wam urągają i prześladują was i gdy z mojego powodu mówią kłamliwie wszystko złe o was. Ciescie się i radujcie, albowiem wielka jest wasza nagroda w niebie” (Mt 5,11). **Te słowa to nie tylko ostrzeżenie i przygotowanie apostołów na prześladowania Kościoła – to wezwanie i powo-**

łanie dla każdego z nas. Trudne – ale niezbędne i oczyszczające. I nieważne, w jakiej formie to prześladowanie się objawia – czy jest to zwykłe, ironiczne spojrzenie innych osób, gdy czynimy znak krzyża, przecho-
dząc obok świątyni, czy otwarte wyśmiewanie się z tego, w co wierzymy. Myślę, że póki nie będziemy gotowi odpowiedzieć na to powołanie, nie zrozumiemy w pełni naszej wiary.

Świadectwo

Przez pewien czas nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego tamta sytuacja przed egzaminem



źródło:unsplash.com

tak mnie poruszyła. Doszedłem wreszcie do wniosku, że to z powodu tego, co ta dziewczyna mi dała. Świadcstwo. Świadcstwo swojej silnej wiary. Wyrastającej ponad opinie innych. I mam nadzieję, że nie trafiło ono nie tylko do mnie, ale i do innych, którzy może nie do końca odnajdują się w takim świecie. **Zrozumiałem też, jak wiele może dać innym moje przyznawanie się do wiary. To, że nie wstydzę się mówić o Bogu. I dlatego właśnie nie powinniśmy bać się pokazywania naszej wiary, bo może być to świadectwem i impulsem do zmiany dla innych, może lekko błądzących czy poszukujących.** Może im uświadomić, że w świecie, w którym wiele osób chce źle dla Kościoła, jest przecież jeszcze więcej osób, które chcą

dla niego dobrze. Warto zastanowić się, jak w codzienności przejawia się nasza wiara i jak świadczymy o Chrystusie. Być może kiedyś największą naszą zasługą będzie to, że przez swoją odwagę rozpaliliśmy w kimś wiarę na nowo?

W obliczu kryzysu

W teorii to wszystko, o czym napisałem, wygląda bardzo pięknie i wzniośle. Praktyka jednak, zwłaszcza w ostatnim czasie, jest dużo trudniejsza. Ogarnia mnie pewien strach, gdy myślę o tym wszystkim, co dzieje się wokół naszego Kościoła. O coraz silniejszych atakach wymierzonych w niego, o profanacjach, o braku podstawowego szacunku dla czyjejs

wiary, o księżach znieważanych za grzechy ich współbraci. Jednocześnie taki strach ogarnia mnie, gdy widzę, co dzieje się w samym Kościele, i że ta cała niechęć nie wzięła się znikąd. Widzę, jak wiele jeszcze musi się zmienić. I pojawia się pytanie: po czyjej stronie się opowieścić? Jak się w tym wszystkim odnaleźć? Coraz częściej widzę, że podział na stronę „Kościoła” i „tę drugą” jest bezsensowny. **Jedyny sensowny podział to strona Chrystusa (w której zawiera się ten prawdziwy Kościół) oraz jego przeciwników.** A każdy z nas powinien zawsze **opowiadać się za Chrystusem i wszystko rozważać w Jego kontekście.** Tylko z Chrystusem będziemy silniejsi i tylko z Nim przetrwamy każdy kryzys oraz każde prześladowanie.

Nie oddawajcie policzka

Przeglądając apoftegmaty Ojców Pustyni zawarte w *Modlitewniku benedyktyńskim*, natrafiłem na taki fragment: „Bracia przyszli do *abba* Antoniego i poprosili go: »Powiedz nam słowo, jak się mamy zbawić«. Starzec im odpowiedział: »Słyszeliście słowa Pisma? One wam pomogą«. Oni na to: »Ale i od ciebie chcemy usłyszeć, ojciec«. Rzekł im starzec: »Mówi Ewangelista: Jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu



źródło:unsplash.com

jeszcze drugi». Odpowiedzieli: »Tego robić nie potrafimy«. Starzec na to: »Jeśli nie potraficie nadstawić drugiego policzka, to przynajmniej znieście uderzenie w jeden«. Odrzekli: »I tego nie potrafimy«. Starzec na to: **»Jeśli nawet i tego nie potraficie, to nie oddawajcie otrzymanego policzka«**. A oni na to: »Nawet i tego nie potrafimy«. Starzec zwrócił się do swego ucznia: »Ugotuj im trochę kaszki, bo są chorzy«. A im powiedział: »Jeśli ani tego nie umiecie, ani tamtego nie chcecie, to co mam zrobić z wami? Potrzeba modlitwy«.

Słowa dające do myślenia. Przecież gdy jesteśmy atakowani, od razu rodzi się w nas chęć kontrataku, chęć oddania drugiemu człowiekowi. Zaczynamy

mówić, że ktoś uderzył w naszą godność, obraził naszą dumę. **I właśnie – obraza ze strony drugiego człowieka powoduje, że zaczynamy myśleć wyłącznie o nas samych.** Zapominamy o nauczaniu Chrystusa, o nauce Kościoła, o tym, by nie zachowywać się jak wszyscy. Przychodzi prześladowanie, przychodzi krytyka ze strony innych, bardziej lub mniej zasadna, a my chcemy walczyć. I owszem – mamy bronić naszej wiary. **Jednak nie odpowiadając w ten sam sposób, w który jesteśmy atakowani, ale walcząc z grzechem.** W pierwszej kolejności z własnym, a potem z grzechem innych. Nie możemy oddawać policzków, bo nasze życie ograniczy się jedynie do wzajemnego policzkowania się z innymi. A by

to wszystko osiągnąć, potrzeba modlitwy, bardzo dużo modlitwy. Gdy doznaje się prześladowań, gdy Kościół jest atakowany, gdy widzi się grzech, gdy nie potrafi się obronić czy przystać do swojej wiary – zawsze w pierwszej kolejności potrzeba modlitwy. **Tylko dzięki niej i dzięki Chrystusowi możemy odnaleźć się w każdym kryzysie i w każdej trudnej sytuacji. Tylko Chrystus może naprowadzić nasze myśli na właściwy tor.**

*Spodobał Ci się ten tekst?
Masz własne zdanie?
Chcesz o coś zapytać?*



Dorośli katechezy nie potrzebują? Formacja duchowa dorosłych w powijakach



Joanna Smarzyńska

Jak wynika z badań GUS na rok 2018, niemal 92% mieszkańców Polski powyżej 16. roku życia deklaruje swoją przynależność do Kościoła rzymskokatolickiego. Wynik to przyzwoity, jednak trzeba zadać sobie pytanie, co kryje się pod tą deklaracją i na ile jest ona świadoma. Jak przedstawia się poziom wiedzy katolików dotyczącej kwestii religii? Prawdopodobnie w niemałej liczbie przypadków będziemy mieć raczej do czynienia z pejoratywnie rozumianą dewocją niż w pełni świadomym wyborem. Często zdarza się, że wiara ogranicza się do prostodusznych przekonań, że jeśli regularnie będę odmawiać pompejanek, to Bozia da mi zdrówko. Pytanie, czy tak to powinno wyglądać. Czy naszym obowiązkiem jako katolików nie jest przypadkiem, jak pisał Jan Paweł II w jednej ze swoich encyklik, dbanie o wzajemne uzupełnianie się *fides* i *ratio*?

Katecheza tylko w szkole?

Słowo „katecheza” automatycznie przywołuje na myśl lekcje religii w szkole. Niewątpliwie skojarzenie to słuszne, ale czy i w pełni prawdziwe? Termin ten

został zdefiniowany w adhortacji apostolskiej Jana Pawła II *Catechesi tradendae* jako wychowanie w wierze dotyczące nie tylko dzieci czy młodzieży, ale i dorosłych. Katecheza dorosłych zarówno w *Cateche-*

si tradendae, jak i *Dyrektorium ogólnym o katechizacji* będącym dokumentem Kongregacji ds. Duchowieństwa, jest uznawana za formę najbardziej pełną czy wręcz najdoskonalszą. Dotyczy ona członków Kościoła posiada-

jących pełnię praw w Kościele, tj. tych, którzy przyjęli już sakrament bierzmowania, spożywają Komunię Świętą, spowiadają się, a także w istotnej mierze wpływają na życie społeczne przez swoją pracę lub chociażby czynne uczestnictwo w wyborach. Rzetelna katecheza skierowana do dorosłych służyć będzie także młodszemu katolikom. Przecież to rodzice mają największy wpływ na swoje dzieci. Jeśli będą dawać prawdziwe świadectwo, istnieje duże prawdopodobieństwo, że tych młodych ludzi w późniejszym czasie nie stracimy. I nie chodzi tylko o to, by w niedzielę pójść do kościoła, bo taki jest zwyczaj, bo tak trzeba. Ten przykład musi wyływać z wnętrza rodziców, z ich głębokiego przekonania, prawdziwej wiary w Boga, która bez stałego pogłębiania i rozwoju prędzej czy później zaniknie.

Na czym zatem właściwie polega katecheza

Zgodnie z *Catechesi tradendae* zadaniem katechezy jest odkrywanie Tajemnicy Chrystusa przez uporządkowanie wiedzy na temat Jego osoby i nauki. Katechezę od ewangelizacji odróżnia to, że ta pierwsza ma na celu pogłębianie wiary już istniejącej, w przypadku tej drugiej target stanowią osoby niewierzące. Katecheza ma prowadzić

do pełni dojrzałości chrześcijanina poprzez zawierzenie się Słowu Bożemu rozumianemu jako Pismo Święte i Tradycja, zachęcić do dawania świadectwa, nauczyć uzasadniania Prawdy, a także doprowadzić do jedności wiary i pełnego poznania Chrystusa. Ma nieustannie rozbudzać wiarę, by w chwilach trudności człowiek nie uległ pokusie wątpliwości. *Kodeks Prawa Kanonicznego* wskazuje, że formacja katechetyczna jest poważnym obowiązkiem każdego katolika, katechetów, a zwłaszcza duszpasterzy, w tym naturalnie proboszczów. Skoro tyle ważnych dokumentów dla Kościoła uznaje katechezę za niezwykle doniosłą, dlaczego tak mało słyszy się o takim nauczaniu wśród dorosłych? Może to tylko słaba promocja tego typu działań? Niestety, zdaje się, że nie. Z wia-

domości zaczerpniętych z Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego SAC wynika, że nawet nie prowadzi się w zakresie katechezy dorosłych żadnych badań statystycznych z uwagi na, co do zasady, brak takiej działalności. Odpowiedzmy sobie teraz na pytanie, czy zawsze istniał taki *status quo*.

Jak to na początku było

Historia katechezy dorosłych, wbrew pozorom, jest bogata. Jezus nauczał dorosłych, a błogosławił dzieci. Rozmawiał z Nikodemem, czy Zacheuszem. Według Pisma Świętego chrztu udzielano dorosłym. Widać to chociażby w Dz 8,12, gdzie wskazane zostało dosłownie, że to kobiety i mężczyźni przyjmowali chrzest. W późniejszych wiekach czas katechumenatu



źródło:unsplash.com

określony był dość precyzyjnie, jak zauważa to R. Murawski w *Katechezie chrzcielnej w procesie wtajemniczenia chrześcijańskiego czasów apostoelskich* (1990). Duży rozkwit katecheza dorosłych przeżywała w czasach Ojców Kościoła. Nauczanie i pisanie traktatów przez biskupów należało do ich ważniejszych zadań. Na tych wybitnych dziełach m.in. św. Augustyna czy Cyryla Jerozolimskiego opieramy się zresztą do dziś. Wyjątkową rolę w tym zakresie odegrał Sobór Trydencki, podkreślając w swoich dokumentach ogromne znaczenie katechezy, także poprzez wydanie *Katechizmu rzymskiego*. Zresztą nauczanie miało miejsce nie tylko na kazaniach, w tym celu były przeprowadzane odrębne katechezy. Niestety z czasem zniknęły z uwagi na brak zainteresowania wiernych (Misiaczek K., *Katecheza dorosłych we wspólnocie Kościoła*, 2002). Również w najnowszej historii stworzono kilka godnych uwagi dokumentów, a są to m.in. adhortacja apostoelska Pawła VI *Evangelii nuntiandi*, wspomniana już wcześniej *Catechesi tradendae* czy *Dyrektorium ogólne o katechizacji*. Dziś osoby dorosłe chcące przyjąć chrzest muszą się odpowiednio do tego przygotować poprzez katechumenat. Oczywiście jest, że przyjęcie sakramentów powinna poprzedzać odpowiednia

formacja. Co jednak, gdy katolik przyjął już większość z nich i, o zgrozo, zakończył swoją edukację (czyt. nie będzie chodzić na religię w szkole)?

Czy jest aż tak źle?

Wciąż jeszcze zdarzają się parafie, gdzie brak duszpasterstw, a za wyjątkiem kazań nie występuje żadna inna forma katechizacji dorosłych. W kilku znanych mi takich parafiach są za to grupy modlitewne, w tym przede wszystkim żywy różaniec. Sytuacja zdaje się jednak ulegać poprawie. Pisząc ten artykuł, nie mogę nie wspomnieć o katechezie dla dorosłych

przy Archidiecezji Poznańskiej. W tym celu w 2010 r. powstała Szkoła Katechistów Archidiecezji Poznańskiej, która ma przygotować osoby świeckie do prowadzenia katechezy dla dorosłych przy parafiach. Ażeby zostać katechistą, nie trzeba mieć wykształcenia teologicznego. Należy przejść dwustopniową formację trwającą ponad rok oraz odbyć staż. Katechiści są gotowi działać zarówno wobec osób nieochrzczonych, jak i ochrzczonych, w sposób regularny bądź doraźny, w miarę potrzeby. Działają też wspólnoty neokatechumenalne. Ich formacja opiera się na trzech filarach, tj. Słowie Bożym, Litur-



źródło:unsplash.com



źródło:unsplash.com

gii i Wspólnocie. W jej ramach prowadzone są katechezy, które mają na celu pogłębienie wiary. Jest to cykl piętnastu katechez, które później rozwijane są w ramach dalszej formacji. Ciekawym rozwiązaniem jest także Dominikańska Szkoła Wiary, składająca się z cyklu wykładów prowadzonych w różnych miastach w Polsce, przybliżających kwestie wiary, etyczne i poruszające najróżniejsze problemy społeczne.

Podsumujemy

Kazania będące czymś w rodzaju, jakby to Jacek Kaczmarski powiedział, „dobrymi radami

pana ojca”, nie są wystarczające. Trudno przekonać dziecko do właściwego zachowania, używając tylko nakazów bądź zakazów, a co dopiero dorosłego. Ważne jest, by swoje racje umieć uzasadnić. W ciągu piętnastu minut podczas mszy świętej trudno to zadanie wykonać. Niestety czasem można odnieść wrażenie, że księża zapominają o tym, że wiernym *Biblia pauperum* już nie wystarcza. Jesteśmy coraz lepiej wykształceni, szukamy odpowiedzi na konkretne, trudne pytania, a infantylne podejście do wiernego nie jest tu właściwym rozwiązaniem. Czy mnie jako zwykłemu katolikowi pozostaje tylko smucić się i narzekać,

jeśli w mojej parafii czy okolicy nie ma odpowiedniej oferty duszpasterskiej? Nie, nie byłoby to chrześcijańskie podejście. Toteż trzeba nam wziąć sprawy w swoje ręce. Dlaczego by nie pokusić się o próbę stworzenia odpowiedniej formacji w swojej parafii? Obowiązkiem chrześcijanina jest działanie. Zejdźmy z kanapy, zakasajmy rękawy, i do dzieła!

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



źródło:pixabay.com

A bramy piekielne go nie przemogą



Katarzyna Mich

Patrzemy dziś na Kościół poraniony, podzielony, będący polem nieustającej, wydawać by się mogło, że nierównej bitwy z mocami ciemności, które starają oddzielić się Kościół święty od Boga. Ale przecież sam Chrystus złożył obietnicę, że „bramy piekielne go nie przemogą” (Mt 16, 18), moce piekielne same nie zniszczą Kościoła będącego mistycznym Ciałem Chrystusa. Ataki z zewnątrz nie spowodują, że Kościół zbudowany na fundamencie Piotra runie niczym dom zbudowany na piasku. Ale czy grzeszność ludzi Kościoła nie rozsadzi go od środka? Podziały są bronią, którą diabeł najczęściej posługuje się, aby zniszczyć Kościół od wewnątrz (por. Franciszek, *Przemówienie do biskupów z terenów misyjnych*, 9 IX 2016).

W starożytnej technice budowania murów miast to właśnie brama była najsolidniejszym i najmocniejszym elementem konstrukcji. Często też posługiwano się słowem „bra-

ma” w sensie przenośnym oznaczającym „siłę, moc i obronność miasta lub całego królestwa” (J. Homerski, *Ewangelia wg św. Mateusza*, s. 249). Użyte więc przez Jezusa słowa „bramy Hadesu”

oznaczają „moce, siły piekielne”. Jezus zapewnia Piotra, że Kościół (*ekklesia* – wspólnota mesjańska nowego przymierza) zbudowany na nim nie ulegnie przemocy zła.

Obietnica Pana versus Kościół w kryzysie

Kościół zbudowany na fundamencie Skąły potrafi się przeciwstawić mocom piekielnym. Jest to Kościół czasów ostatnich. W obietnicy Jezusa dotyczącej Kościoła zawarty jest moment walki. Jednak jest ona również przyrzeczeniem szczególnej opieki Chrystusa nad Kościołem na czas jego istnienia i aż do końca świata (por. J. Gnilka, *Teologia Nowego Testamentu*, s. 234). Ale obietnica Kościoła, którego moce piekielne nie przemogą, odnosi się tylko do Kościoła zbudowanego na fundamencie Piotra. Chrystus jest Budowniczym, który buduje na Skale-Piotrze. Metafora budowania fundamentów na skale wyraża idee trwałości i siły.

Kryzys w Kościele nie jest tylko znakiem czasu współczesności. Kryzysy towarzyszą Kościołowi od samego początku jego istnienia. Spory, nieporozumienia były i są naturalnym elementem ludzkiej natury, przez co zawsze będą one towarzyszyć budowaniu Kościoła. W jego historii jest wiele wydarzeń, które po ludzku mogły go zabić. Istniejąca od zawsze tajemnica zła i grzechu (*mysterium iniquitatis*) rozbija Kościół od wewnątrz. Herezje, schizmy, grzechy ludzi Kościoła – nie ma

epoki, w której Kościół nie przeżywałby kryzysu objawiającego się brakiem świętości, podziałami. Przez wieki ataki złego przybierały najróżniejsze formy, ale Kościół trwał przy Piotrze i jego następcach. Pomimo swojej grzeszności głosił całemu światu ewangelię o Jezusie Chrystusie.

Nieustająca bitwa wewnątrz Kościoła

Nowością naszych czasów jest brak – i to w samej wspólnocie Kościoła – świadomości, czym jest Kościół i na jakim fundamencie został on ustanowiony. Wszechobecne są w Kościele funkcjonalizm, pokładanie ufności w strategiach marketingowych. Mnożą się „medialne ambony” z samozwańczymi

kaznodziejami, uzurpującymi sobie rolę sędziów wszystkiego i wszystkich. A ludzie Kościoła prowadzą brudną walkę o władzę poprzez pozbawione skrupułów, instrumentalne i wybiórcze traktowanie i nadużywanie przestępstw i grzechów. Globalizacja i swobodny dostęp do mediów stały się narzędziem rozsiewania półprawd i świadomej dezinformacji niektórych samozwańczych „mediów katolickich” (por. Torielli i Valente, *Dzień sądu*, s. 11–12).

Ubi Petrus, ibi Ecclesia

Jednak najpoważniejszym zagrożeniem dla Kościoła jest podważanie i bezpardonowe ataki na następcę Piotra. Przypomnijmy sobie słowa św. Cypriana: **Ubi Petrus, ibi Ecclesia** – „gdzie Piotr, tam Kościół”. Pozwolę sobie przytoczyć słowa ks. Węgrzyniaka, które każdy powinien wziąć do serca: „To prawda, że papieże mogą błędzić. To prawda, że nie wszyscy byli święci. To prawda, że można i trzeba ich czasem krytykować. Ale nigdy ich nie opuszczać. Jeśli Piotr ucieknie spod krzyża, będę uciekał razem z nim. Jeśli Piotr zamknie się w wieczerniku, zamknę się i ja z nim. Jeśli zaprze się Mistrza, nie opuszczę go z tego powodu. A jeśli nawet będę wierny jak św. Jan, to po paru godzinach i tak odnajdę



źródło: wikimedia.org



Piotra. Lepiej bowiem iść 40 lat przez pustynię z Mojżeszem, który zawalił, niż na własną rękę szukać krótszej drogi do Ziemi Obiecanej. Lepiej być wiernym niewiernemu Piotrowi niż budować Kościół, który nie ma Skąły. [...] Nawet jeśli Papież, ten, czy którykolwiek zbłądzi, to wierzę, że Kościół nie rozpadnie się od błędów papieża. Nawet jeśli skała, na której zbudował Chrystus Kościół, usłyszysz jeszcze nieraz w historii pianie koguta, to pójdę z Piotrem nie dlatego, że jest nieomylny, ale dlatego, że nieomylny Chrystus będzie wracał do niego z pytaniem: »Czy miłujesz mnie więcej?« i do niego będzie mówił: »Paś baranki moje«. Jeśli Chrystus jest wierny Piotrowi, który nie zawsze jest

wierny Bogu, to kimże ja jestem, żeby nie być wierny temu, któremu jedyny Pan powierzył jedyne klucze?».

Ratunkiem w kryzysie jest wierność Skale

Kościół nie wyjdzie z kryzysu sam, bowiem nie jest samowystarczalny. Nie świeci własnym światłem, nie zachwyci ludzi, jeśli sam nie uzna się za żebraka potrzebującego uzdrowienia. Aby Kościół został uleczony z trawiących go chorób, musi zadziałać sam Chrystus, udzielając łaski miłosierdzia i przebaczenia (por. Tornielli i Valente, *Dzień sądu*, s. 310–311). Papież Benedykt XVI przypominał w swojej ostatniej audycji

generalnej 27 lutego 2013 r., że w historii Kościoła były i są „momenty, w których wody były wzburzone, a wiatr przeciwny [...] i wydawało się, że Pan śpi”, ale zawsze „w tej łodzi jest Pan” i że „łódź Kościoła nie jest moja, nie jest nasza, lecz Jego. I Pan nie pozwoli, by zatonąła; to On ją prowadzi z pewnością za pośrednictwem ludzi, których wybrał, bo tak chciał”.

Tajemnica apostoła Piotra polega na tym, że rybak pełen niedoskonałości, porywczoci i ułomności stał się skałą, na której Chrystus zbudował Kościół. Kościół musi iść za Piotrem, drogą wytyczoną przez samego Jezusa Chrystusa, który troszczy się o swój Kościół bardziej niż ktokolwiek inny. To On będzie tym, który uspokoi burzę. Jednak my nie możemy z obojętnością oczekiwać, ale trwać na modlitwie.

Módlmy się za Kościół święty i działajmy na rzecz jedności w Kościele. Trwajmy przy Piotrze.

*Spodobał Ci się ten tekst?
Masz własne zdanie?
Chcesz o coś zapytać?*